TYGODNIK KATOLICKI.

Rok XII. Rok XII.

№ 38. Grodzisk, 23. września 1871. № 38.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr, 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr. 8) W **Australii** 2 tal. 20 sgr.
Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum, qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

O Papieżu.

Nauka trzecia

X. Piotra Semenenki.

O Papieżu, jako podwalinie nadziei,

to jest o jego

Sądowładztwie (Juryzdykcyi.)

Tobie dam klucze królestwa niebieskiego, i cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związaném i w niebie, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązaném i w niebie. (Mat. XVI. 19).

(Ciąg dalszy.)

Szukaliśmy zastępcy Chrystusa Pana i znaleźliśmy jego postać jasną i promieniającą swojém własném zatwierdzeniem. Ta była pierwsza droga, na któréj ją mogliśmy byli znaleść, a jak pewna i krótka, pokazał to skutek. Nazwaliśmy ją byli drogą zewnętrzną.

Atoli przestrzegliśmy zarazem, że mamy inną drogę z wnętrza jakoby, i z głębi rzeczy prowadzącą nas do tego samego kresu. Tę nam w téj chwili przebiedz potrzeba.

Ta droga ma inny sobie właściwy drogoskaz, który odpowiada nie już jak tam na pytanie: gdzie i kto? ale na to inne: Dla czego? Jak zasię usłyszymy całkowitą odpowiedź na to nowe dociekanie: Dla czego Piotr, dla czego Papież jest tém czém się być mieni? wtedy staniemy zarówno i z nieodmienną pewnością u tego samego co i tam kresu szukania i drogi.

Dla czego? I tu krótka odpowiedź: Dla tego, że tak Chrystus ustanowił. A tu znowu mogliśmy słowa tego ustanowienia w całéj ich okazałości wytoczyć: Piotrze! *Tobie dam klucze królestwa niebieskiego: Co zwiążesz, będzie związaném, co rozwiążesz, będzie rozwiązaném.* I nie tylko słowa przytoczyć; moglibyśmy jeszcze i powinniśmy całe ich znaczenie rozwinąć, i dokładnie wykazać jak ono w sobie zamyka cały ten, o którym mówimy, urząd zastępcy Chrystusa w dziele Bożém zbawienia ode złego i prowadzenia do wszystkiego co jest dalszém i ostatniém dobrem.

Lecz to już uczyniliśmy poniekąd, i już z tego cośmy dotąd powiedzieli, ta prawda dostatecznie zajaśniała; a jeśli jéj jeszcze czego brakuje, natychmiast i z okładem mieć to będziem, skoro uczynimy wprzódy cośmy uczynili w naszém przeszłém zastanawianiu się nad nieomylnością Papieża. Tam zapuściliśmy się byli do dna téj głębi rzeczy, i szukaliśmy i znaleźliśmy sam powód ustanowienia Chrystusowego; skąd nareszcie wynieśliśmy moralne przekonanie, że Chrystus nie mógł był inaczéj ustanowić, i że tak powinien był ustanowić. Więc i w obecnym przypadku nic nie może nam być bardziéj jak to na rękę, i tego samego szukać powinniśmy.

Zabierając się do podobnego dochodzenia musimy i tu to samo co i tam, postawić na czele węgielne prawidło, że Bóg cudami świata nie rządzi, i bez potrzeby cudów nie mnoży, że nie mówi słów dziesięciu lub stu, tam gdzie jednego dosyć; że Chrystus nie wcielił się sto razy po wszystkich kątach ziemi, skoro raz na jedném miejscu dość było; i że zapewne, owszem, bez żadnéj wątpliwości, nie zostawił po swojém odejściu tysięcy zastępców, skoro jeden wystarczał. A tu w obecnym przypadku tém bardziéj i tém koniecznéj nic podobnego nie uczynił, że coś takiego, jak się zaraz pokaże, byłoby wierutném niepodobieństwem. Przypatrzmy się téj rzeczy już z bliska i dokładnie.

Cóżby w istocie Chrystus, z téj ziemi odchodząc, mógł być zostawić po sobie, coby go odpowiednio zastępowało w dziele zbawienia? Jak w onym pierwszym razie, tak i w tym, dwa są sposoby pośrodku między dwoma kresami skrajnymi; jak tam między nieomylnością wiary a bezdnią nihilizmu, tak tu między pewnością nadziei całkowitéj zbawienia a rozpaczą zatraty niepowrotnéj, między Bożém ustanowieniem a szatańskiém zniszczeniem, są dwa ludzkie środki, niemożebne wprawdzie, ale dźwigające się pozornie i trzymające przez chwilę: protestancki i schizmatycki.

Weźmy naprzód pod uwagę protestancki sposób: całkowitszy, logiczniejszy, skrajniejszy, stojący tuż u wrót saméj zaguby. Cóż wymyślił i co postawił na miejscu Papieża? Kto w protestanckim sposobie miasto Chrystusa wybawia od złego, to jest kto odpuszcza grzechy? Kto z Jego ramienia rozdaje łaski? Przed rozumem śmiech powiedzieć, przed duszą wstyd i smutek wyznać: każdy człowiek sam sobie. Prawda, że Protestantyzm odnosi się jeszcze z tą sprawą do Boga, ale do Boga odwołuje się bezpośrednio, i jak powiada, wiarą: każdy Chrześcianin powinien tam mocną wiarą w głębi duszy wierzyć, że mu Bóg grzechy jego odpuszcza; a tą wiarą sam przez się dostępuje odpuszczenia grzechów. Wzdy jednak kto człowiekowi tę wiarę daje? Także sam sobie. Jak wiarę zewnętrzną, to jest przedmiot wiary człowiek sam sobie tam stwarza; tak i wewnętrzną, nie kto inny

mu daje. Lecz pytam: czyliż to zaiste wiara, a nie raczéj jéj widmo urojone? Albowiem jeżeli przedmiot wiary zależy od sądu rozumu ludzkiego i wszystkich jego *widzimi się;* uczucie wiary zależeć również musi od własnego serca człowieka, i od wszystkich jego *podobami się* i jakichś tam *czujemi się.* Coś podobnego nie jest zgoła podstawą rzeczywistą, na któréj człowiek oparty mógłby w imieniu Boga odpuszczać sobie grzechy i w Jego imieniu dawać sobie łaski. To śmiech przed rozumem, boleść i smutek przed duszą.

A naprzód jest to iście niedorzecznością i śmiechem przed rozumem. Komuż kiedy przy zdrowych zmysłach do głowy przyjść mogło, aby w imieniu Bożém mógł sam sobie odpuszczać grzechy? Przed przyjściem Chrystusa nikomu; a jednak po jego przyjściu Protestantom do głowy to przyszło, i taki postawili samoprawny dogmat. Jużciż nie mogli inaczéj; albowiem odrzuciwszy Papieża będącego w téj potrzebie źródłem władzy i zbawienia, gwoli onych kluczów, które w ręku dzierży on jeden, musieli koniecznèm następstwem odrzucić i wszystkich innych sprawowników téj władzy, i nikogo nie przypuścić między sobą a Bogiem; odrzuciwszy zaś pośredników wszystkich, nic nie pozostawało innego, jedno aby ta sprawa odpuszczenia grzechów toczyła się bezpośrednio między człowiekiem a Bogiem. Więc człowiek, powiadacie, sam sobie w imieniu Boga grzechy odpuszcza? Iżaliż nie widzicie od razu jaka to sroga niedorzeczność? Tu bowiem i wzmiankować nie potrzebuję cudów, lub odwoływać się do onego prawidła, że Bóg bez potrzeby cudów nie mnoży, a to byłoby ich pomnożeniem bez miary i wagi, bez szyku i bez liku. Tu wasza niedorzeczność sam cud wyklucza i czyni go grubem niepodobieństwem, bo robi przypuszczenie i stawi zatwierdzenie być nie mogące, bo sobie samemu przeciwne, i którego obie dane nawzajem się niszczą. Jak to? Człowiek miałby sam sobie grzechy odpuszczać? A toć w takim razie jedna i ta sama osoba byłaby zarazem i sądzią i winowajcą, i wyrokującym i oskarżonym, i łaskawcą i ułaskawionym, i dobroczyńcą i dobrobiercą. Lecz z tego się rozum śmieje, bo to iście być nie może; tak jak nie może być żadną miarą rzecz jakaś zarazem i czynna i bierna pod tym samym względem, tak jak w fizyce lub chemii nie może być proces o jednym czynniku, jak w matematyce nie może być linia lub jakikolwiek rozmiar matematyczny o jednym punkcie. Z tego się rozum śmieje; tu i cud nie pomoże, i sam Bóg Wszechmogący nie może uczynić takiego czegoś nie dorzeczy.

Tylko znowu nie mówcie, dla Boga! że u was nie człowiek sobie, ale Bóg w duszy grzechy mu odpuszcza wewnątrz, i że wtedy nie jest to niedorzeczy. Odpuszczenie jest wyrokiem: czy kto z was słyszał w duszy swojéj ten wyrok Boży, odpuszczający mu grzechy? Powiecie mi może, że wasza wiara ma swoje wewnętrzne uszy, któremi go słyszy. A toć właśnie w tém bieda, że wszystko zależy od tych uszu wiary, bo w tém właśnie leży samo dno téj waszéj niedorzeczności. Czyście się jeszcze nie poznali na tych wewnętrznych uszach wiary? Pierwsza właściwość ich natury jest ta, że słyszą, to jest zdaje im się, że słyszą, to co się im podoba; druga, gorsza, jest ta, że choć nic nie słyszą, wmawiają w siebie, że słyszą jednak; trzecia, najgorsza i najsmutniejsza, jest ta, że choćby nawet, co niepodobna, słyszały cokolwiek, nie mają nic w sobie coby im dawało rozpoznać prawdziwy głos od fałszywego; i muszą się chyba uciekać do jeszcze głębszéj wiary, już zupełnie wewnętrznéj, dowolnéj i ślepéj, która jest ostatnią podstawą pewności bez żadnéj rękojmi zewnętrznéj, a choćby i w duszy saméj, od Boga jednak, a nie z niéj pochodzącéj; ostatnią podstawą jest koniecznie i wyłącznie wyrok własny, jest zdecydowanie się wiary bez żadnéj rękojmi, bądź zuchwałe z zarozumiałości, bądź z rozpaczy zuchwałe, a zawsze dowolne i ślepe, zdecydowanie się na ten sąd i przekonanie, że mi Bóg grzechy odpuszcza. A więc jedném słowem: Kto naprzód ręczy za rzecz samą, którą niby uszy wiary słyszały? Kto potém za te uszy ręczy, to jest, że ich słuch dobry, i że wiara słusznie uszom swym zawierzyła? Kto nareszcie za nią samą jéj saméj ręczy? Któż inny jeśli nie znowu ta sama wiara? A jużci nie kto inny. Okrutna niedorzeczność!

Więc już dla tego samego, że to taka niedorzeczność i taka rdzenna, że tak powiem, niemożebność, nie trzeba było odwoływać się do cudów, i pokazywać jakie tu samego cudu niepodobieństwo. A on przecie bije każdemu w oczy, i warto się jednak przez chwilkę mu przypatrzyć. Systematu Protestantów nieuniknłém następstwem jest to zaiste: iż władzę, jaką według nauki katolickiéj ma Papież, a z nim razem, choć zależnie od niego, mają biskupi, tę władzę odpuszczania grzechów, posiada każdy u nich wierny, nic nie mówiąc o tym dodatku, na który tu już oczy i uszy zamykamy, że ją posiada dla siebie samego; czego w nauce katolickiéj, w któréj niedorzeczności być nie może, sam Papież dla siebie samego nie posiada, tylko jéj komu innemu w imieniu Bożém udziela jako Papież, dla swojéj osoby, jako grzesznika. Z tego się pokazuje, że jeśli jest cud w nauce katolickiéj, cud łaski i miłosierdzia, to jest ta władza najwyższa odpuszczania grzechów w Papieżu złożona, ten cud wszelako granic rozumu nie przekracza bynajmniéj! i samego Papieża nie sadza w jednéj chwili i w jednym czynie już na ławie winowajcy, już na przystolu Sędziego.

Lecz dajmy pokój téj niedorzeczności, o któréj już dosyć mówiliśmy: mówmy teraz o jednym tylko cudzie odpuszczania grzechów, i w tém jedném się porachujmy z nauką Protestantów. Więc jednego cudu dla was za wiele i jest rzeczą dla was nieznośną, aby Bóg przez Papieża grzechy odpuszczał, i aby ten ten jeden miał w tém władzę najwyższą; a z drugiéj strony wcale wam tego nie za wiele, aby każdy a każdy wierzący miał tę władzę najwyższą od nikogo nie zależną wprost od Boga, i aby Bóg grzechy każdemu odpuszczał przez niego samego, jemu samemu, w jego własnym trybunale? Cudu jednego nie chcecie; więc dla tegoż to na nic nie zważając, nawet na nierozum, sypiecie z rękawa cudów miliony? Skądże proszę ta sprzeczność? Lecz my ją zbyt dobrze rozumiemy, i już nie zbaczając ni na prawo ni na lewo, bez obawy zaprzeczenia, powiemy wam prawdę wprost w oczy. Wam się nie podoba, że Chrystus do odpuszczania grzechów ustanowił człowieka na swém miejscu, i że w skutek tego musielibyście kark twardy uginać przed następcą Bożym, i stawać jako winowajca chociaż przed Bogiem, jednak sądzącym i wyrokującym w osobie człowieka. Oburzają się na to wnętrznoście duszy waszéj, i dla tego ręka odpycha miłosierdzie, samodzielnie poprawia ustanowienie Chrystusowe, to jest wywraca je i niszczy, i na jego miejscu stawi swoje budowanie, nierozum zarazem i niepodobieństwo. Darujcie, ale na to Chrystus nie mógł zważać, i żadną miarą dla jednego podobania się waszéj dumie nie mógł niepodobieństwa i nierozumu zostawiać na swojém miejscu odchodząc z ziemi do nieba. Więc ustanowił to co ustanowił, i co już wiemy, i czego przyczynę tém lepiéj rozumiemy teraz.

Atoli idźmy daléj; bo warto się przekonać jak ten sposób protestancki, niedorzeczność przed rozumem, jest jeszcze dla serca bolem i smutkiem a dla duszy rozpaczą. Tam z korzenia wycięta usycha nadzieja i umierają wszystkie jéj jasne pociechy; tylko czarna rozpacz żyje i nareszcie wszystko pochłania.

System protestancki w swém wyobrażeniu o naturze ludzkiéj myli się z gruntu; nie zna jéj naprzód, a potém ją przewraca, nareszcie zaprzecza i zabija. Żyje Bóg! On jeden zna dokładnie tę, którą stworzył, naturę człowieka, zna jego serce, i wie czego mu trzeba; to też Chrystus wiedział co miał ustanowić. Ale Protestantyzm tém, że się targnął na ustanowienie Chrystusowe, tém samém rękę podniósł na ludzką naturę także, na wszystkie jéj warunki i potrzeby, i wszystko zburzył. Warunkiem życia i potrzebą niepozbędną serca ludzkiego jest pewność. Bez pewności nie ma posiadania dobra obecnego, nie ma nadziei przyszłego dobra; bez pewności i posiadanie i nadzieja przestają być nadzieją i posiadaniem. Więc ono dobro obecne, którém jest odpuszczenie grzechów, jakże będę posiadał, kiedy tego posiadania nie mam żadnéj pewności? Już nic nie mówię o nadziei dóbr przyszłych i o ich pewności; tu o niéj ani mowy, ani myśli być nie może, bez tamtéj pierwszéj pewności, która téj drugiéj jest podstawą i warunkiem. Cóż tedy? Skąd wezmę oną pewność odpuszczenia grzechów, bez kluczy Piotrowych, które jedne mi ją dają w imieniu Chrystusa? Czy mi ją da ona wiara ślepa i na bądź co bądź się puszczająca, jedyne narzędzie téj pewności u Protestantów? Ona, bez rękojmi przed sobą, bez gruntu w sobie saméj, biedna istota bez głowy, bez nóg, i z wnętrznościami pustemi, miałaby mi dać tę pewność? Niech to zdrów mówi kto nie zna serca ludzkiego, lub go znać nie chce; serce ludzkie z góry odpycha taką pewność bez żadnéj pewności.

Lecz to co tak z góry serce ludzkie uważa za wierutny zawód; to samo z dołu potwierdza żałosném doświadczeniem, skoro raz nieostrożnie za ułudą poszedłszy, uwierzy temu niepewnemu dobru, temu mniemanemu odpuszczeniu, i puści się ciemnym szlakiem w tę krajinę zawodów. Mamy przecie żywe przykłady przed oczyma, mamy historyją przeszłą i obecną Protestantów. Żyją dotąd; jeszcze wszyscy nie wymarli; mogą być dla nas żywą nauką. Otóż przedewszystkiém tego pierwszego nas uczą, że jeśli tak wymierają, jeśli ich tylu już wymarło, chcę powiedzieć jeśli *Protestantyzm wiary* tak bardzo się zmniejszył, tedy nie dla czego innego, jedno, że nie wierzy i zdobyć się nie może na wiarę w odpuszczenie grzechów. Owa wiara ślepa i bez podstawy o któréj mówiliśmy, darmo się sili na wiarę; skazana jest z góry na to, aby zawsze pozostawała rozpaczliwym wysiłkiem, nigdy nie wchodzącym do pewności. Niech nam powiedzą szczerzy Protestanci, czy się inaczéj dzieje w ich duszy, i czy ich wiara w odpuszczenie grzechów była kiedykolwiek czém inném niżeli rozpaczliwym wysiłkiem? Jeżeli szczerzy, szczerze odpowiedzą: że pewności prawdziwéj nigdy nie mieli, i że na dnie duszy było zawsze coś na kształt rozpaczy, jakieś kło jéj wciąż odrastające z głębi. A więc ból dla serca, rozpacz dla duszy.

Toć zaiste nie dla czego innego Protestantyzm się rozpada, i widzimy jak się rozchodzi w dwie przeciwne strony. Spytajmy i jednych i drugich, dla czego to czynią? Ci co wrócili do katolickiéj prawdy, odpowiedzą niemal wszyscy, iż ten mieli powód, że szukali pogodzenia się z Bogiem, pozbycia się złego, odpuszczenia grzechów; a pewność tego znaleźli, dopiero wtedy szczęśliwi! w jednym tylko Kościele. Ci znowu co się w odwrotną stronę udali, i skończyli na mniejszém lub większém niedowiarstwie, czekając aż póki na zupełném nie skończą, ci z wyjątkiem nie wielu, co złe dla złego wybierają, po większéj części ten drugi mieli powód, przeciwny tamtemu, że nie mogąc mieć wiary, stracili pewność, a wślad za nią, nadzieję wszelką odpuszczenia grzechów; więc woleli z grzechem się pogodzić, nadać inną postać złemu i dobremu, i w tym nowym świecie moralnym, własnego utworu, znaleść nareszcie pewność i pociechę, że nie są w grzechu, że są wolni od złego. Taki mieli powód ci drudzy. O człowieku! cokolwiek czynisz, naturę twoją można zawsze złapać na uczynku, i twoje serce poznać po jego robocie; bo ty i ono zawszeście wierni temu czém jesteście. Byle tylko znać tę naturę ludzką! Więc oczywista, że Protestantyzm jéj nie znał i że jéj gwałt zadał swą lichą nauką. To tylko dobre, że co ludzie mięszają i psują to czas naprawia i sama natura do porządku przyprowadza; i to się téż sprawdza na Protestantyzmie. Gwałt trwać nie może, jego chwile z góry policzone; dla tego téż Protestantyzm nie trwa, i z góry obrachować można oszczątki czasu, które mu jeszcze pozostają do życia, to jest do dokończenia onéj swéj drogi do podwójnego kresu, lub na prawo, lub na lewo. A co go zabije, ocalając jednych, dobijając drugich, tedy ten sam gwałt, ten sam ból, które on zadał sercu i duszy człowieka.

Ale stąd wniosek ostatni, że Chrystus Zbawiciel nie mógł sam zabijać swego dzieła zbawienia, a więc odchodząc z tego świata nie urządził swego dzieła w sposób protestancki. Stoji prawda wniosku wyraźna i konieczna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Artykuły **Orędownika** o inspekcyi szkólnéj.

II.

(Ciąg dalszy).

Kiedy więc „zewsząd wyrywały się głosy, albo o zreformowanie inspekcyi duchownéj“ czemu przeczę, na co ja dowodów żądam, albo o wyzwolenie szkoły z podwpływu duchownego,“ (co przyznaję, że czyni wiele choć nigdy „wymowni przyjaciele religijnego wychowania“): wtedy „rząd mógł, a nie zaradził temu niedomaganiu w inspekcyi duchownéj,“ „rząd znał te ujemne strony inspekcyi duchownéj — kiedyć konferował z Harnischem i zwolennikami jego, a mimo to nie zaradził złemu, bo dotychczas kościół potrzebnem w ręku jego narzędziem ku przeprowadzeniu idei politycznych;“*) „a kościół nie chciał zasadniczo niedomagań tych usunąć,“ „kościół nie przewidział, że podobny ustrój inspekcyjnéj organizacyi może się stać z czasem obosieczną bronią przeciw niemu samemu w ręku opiekunów.“

Patrzcie, słuchajcie! czy nie słusznie innowiercy zowią katolików obskurantami? a wszak to ich Kościół zasadniczo nie chciał usunąć niedomagań inspekcyi duchownéj, chciał nieumiejętności inspektorów, a przez to i złych szkół i ciemnoty ludu! I rząd tak dobrze znał tę Kościoła naturę obskurantyzmu

*) Nie wiem, jak się w artykule i w głowie p. Kr. godzi to zdanie z wprost przeciwnym: „Rządowe tolerowanie propagandy liberalnéj w szkólnéj literaturze peryodyczne rozigrało ją na dobre, a szkoła stara się już wyzwolić z pod wszelkiego wpływu i z pod wszelkiéj prawie władzy. Najskrajniejsze pisma, mnożąc się z dniem każdym występują do walki publicznéj, nacierają śmiało na institucye i osoby rządowe. Taka wolnomyślna opozycya, rosnąca w coraz szérszy obóz, może się stać niebezpieczną dla machiny państwa, gdzie głównym warunkiem bytu — serwilizm (?!!) Zapobiedz temu, usunąć hamulec, zawadzający planom politycznym: oto główny bodziec do téj zapowiadanéj reformy w szkole ludowéj. (Jakaż to szkoda! że p. Kr. nie czytają liberały niemieckie, które za rządem gardłują i rzekomo kręcą powróz na swą szyję!) *Ku przeprowadzenia tego planu nie można użyć institucyi duchownéj, bo rząd protestancki wié dobrze, że kościół katolicki, jako institucya boska, nie da się użyć do machinacyi zakuliso wych.*“ Tłomaczy się to chyba tą łatwością wielu, żeby jednym tchem coś nazwać i czarne i białe.

„zasadniczego", że „wiedząc o niedomaganiach inspekcyi," mogąc złemu zaradzić," nie czyni tego, żeby sobie kościoła nie odstręczyć, nie stracić w nim „narzędzia ku przeprowadzeniu idei politycznych." — Wszak rozumowania godne „wymownego przyjaciela wychowania religijnego."

Jakaż to idea polityczna? i czym Kościół ją przeprowadził wraz „z rządem berlińskim?" To jedność niemiecka! „Dzisiaj pierwszy raz w historyi szkoły pruskiéj występuje rząd *stanowczo i otwarcie* do walki z Kościołem. Znać już ukoronowane dzieło *jedności* niemieckiéj, nie potrzeba już więcéj umizgów do katolickiéj Bawaryi, która za wpływem *partyi katolickiéj* (!) *wierzącéj w pomoc protestancką dla katolickiego Rzymu,* przystąpiła do Związku cesarstwa." Nie można żądać od p. Kr., jako nauczyciela, żeby znał na wylot politykę; ale żądać należy, żeby urojeń swych nie podawał lekkomyślnie za fakta, i na nich nie budował fantastycznych teoryi, ubliżających swym współbraciom we wierze i Matce swéj, Kościołowi.

Gdzież to on wyczytał, że to nie stronnictwo Nationalliberałów, lecz „partya katolicka" wpłynęła na króla bawarskiego, żeby przystąpił do związku cesarstwa (sic!)? i żeby pobudką do tego było jéj, iż wierzyła w pomoc protestancką dla katolickiego Rzymu?" Jakże inaczéj sądzi *Schl. Z.*, która mówi o „tiefe Zerklüftung des Landes in eine *deutsche* und eine *römische-pfaffische* Partei?" I ten kościół jak ślepy myśli, że ma w rządzie „opiekunów" swego obskurantyzmu, swego uporu przy „strupieszałéj" organizacyi inspekcyjnéj; a on jest tylko narzędziem jego politycznym, które się kopnie nogą, gdy będzie niepotrzebne; a „te niedomagania inspekcyi" „zasadniczo" podtrzymywane, kiedyś staną się „obosieczną bronią, przeciw niemu w ręku jego opiekunów" tj. jak kościół „strupieszałą inspekcyą" zabijał „zasadniczo" z przyzwoleniem „rządu berlińskiego," oświatę ludu; tak w zamian „rząd" ten zabije Kościół przez tę inspekcyą, — nie, przez odebranie inspekcyi. Trochę tu *similitudo claudicat,* porównanie kuleje: ale myśl jasna, choć nie dość prawidłowe jéj wyrażenie.

P. Kr. już widzi ze szkoły i kościoła *„koszary polityczne;"* przewiduje że *„kościół i szkoła mają się stać instytucyami państwa;"* i *„dziwnie wyglądałby Kościół Chrystusów w ręku politycznych kierowników, rachujących się rzadko z warunkami moralnymi,"* *„szkoła wyglądałaby jako szkoła kadetów."* A choć

„może (komuś) za drastyczną się zdaje ta charakterystyka przyszłego kościoła i szkoły, — nam (p. Kr.) się ten obraz w takiem przedstawia świetle, dla tego wierzymy (p. Kr.), że za nim rządy [za pomocą Doellingerów, Wollmanów i Kamińskich staną u mety swych życzeń, odegra się wpiérw w społeczeństwie tragiczny bardzo dramat."

I drastyczna charakterystyka i tragiczny dramat, to strachy na lachy! Sobór *starowierców* katolickich (to *Tygodnia* wyrażenie) w Heidelbergu stał się *eine gänzlich verfehlte Geschichte;" Krzyżowa,* która się już cieszyła, że do skutku przyjdzie „narodowy niemiecki kościół," już puściła z tonu, i dziś żeby relikwią starego katolicyzmu zachować, radzi, ażeby przyszło do połączenia się z *Jansenistami,* którzy mają biskupów, jakich brak *starowiercom Zachodu.* Protestant *Schuselka* w swojéj *Reform* z dnia 10 sierpnia pisze o nich.

„Wir glauben nicht, dass viele Protestanten Lust haben, à la Doellinger und Anton Alois altkatholisch zu werden. Diese Herrn wollen eine neue alte oder alte neue kath. Kirche gründen; sie werden aber nichts als eine zwischen dem Katholicismus u. Protestantismus hin u. herschwankende und dadurch in den Nihilismus hineingerathende Secte zu Stande bringen, welche das traurige Schicksal des Deutschkatholicismus haben wird."

A inną razą dodaje:

Es gehört keine Prophetengabe dazu, um vorherzusagen, dass der Pseudo-altkatholicism das Schicksal des Pseudo-Deutsch katholicism haben und seine getäuschten Anhänger ebenso unglücklich machen, oder doch in ebenso schlimme Verlegenheit bringen wird.

Katolicy, Bogu dzięki! nie pójdą pod kaudyńskie jarzmo państwa; za wiele w nich dziś żywéj wiary i uczucia godności swojego Kościoła. Można go było febronianizmem, gallikanizmem, józefinizmem uciskać wtedy, gdy episkopat nie stał jako jeden mąż przy Papieżu, gdy zarzuconą mu przez państwo ponetą narodowych kościołów, odrębnych od rzymskiego, ultramontańskiego wszedł w zasadzkę i chodził w jarzmie rządów: ale dziś, jak jeden z biskupów się wyraził w Rzymie, dziś Sobór Watykański pokazał światu, że cały kościół jest ultramontański. W takich czasach jedności Kościół, choćby najciężéj uciśniony, wszelako zwyciężał. To též *Schl. Volks Zg.* w nr. 165. pisze

„Zweifels ohne ist Fürst Bismark ein mächtiger, ein gewaltiger Mann. Er hat Oesterreich aus Deutschland herausgewiesen, hat das siegsgewohnte Frankreich niedergeschlagen und gedemüthigt, ein deutsches Kaiserthum errichtet. Das sind Eerfolge die auch einen weniger selbstbewussten Mann als Fürst Bismark ist, zu dem kühnen Glauben verleiten könnte, auch das Unmögliche möglich zu machen. Aber fester als Oesterreich und fester als das französische Kaiserreich ist die katholische, die römisch-katholische Kirche gegründet. Sie ist so leicht nicht zu stürzen, wie Fürst Bismark in der Fülle seines Einflusses und seiner Macht zu glauben meint. Noch viel mächtiger, als er, waren die Staufer und die Salier, u. ihre Gewalt ist an dem Felsen der Kirche gescheitert; noch viel mächtiger war Napoleon I., und er starb als Gefangener auf Helena, — die katholische Kirche fürchtet auch den Fürsten Bismark nicht:"

Podzielam całkowicie zdanie *Giermanii,* która na wywody *Staatsanzeigera,* uzasadniające zwinięcie wydziału katolickiego w ministerstwie wyznań, odpowiedziała: że

„trzeba było uczciwiéj sobie począć i wprost oświadczyć: tego środka chwycono się przeciw kościołowi, państwo zrywa dawny z nim stósunek i odwołuje *quasi* swych posłów od niego.""

Odpowiedź ministra Mühlera w sprawie Dr. Wollmanna dana biskupowi warmijskiemu, była już jawnym wypowiedzeniem wojny kościołowi, bo odmawiała mu wszelkich dawnych praw wskutek dogmatu o nieomylności.

Ale dziś widocznie rząd się cofa z téj walki nie mniéj jemu jak Kościołowi zgubnéj. *Krzyżowa* z początku wierna i urzędowéj i liberalnéj prasy towarzyszka boju zaciętego przeciw Ultramontanom, przyszła już do uznania, że walczyła ślepo w szeregach wrogów swych własnych i państwa: boć *„rewolucya, gdy się kiedy czuje za słabą walczyć przeciw państwu, uderza na Kościół."* Liberalna prasa, jak *Nat. Zg.* gorzkie żale zawodzi,*) gdy A i N A Z., organ rządowy oświadczył, iż rząd daléj już obecnie nie pójdzie w walce przeciw Ultramontanom. Czemu? bo nie może. Nawet liberalne gazety, jak *Schl. Zg.* w swym artykule: „Der Staat und die kath. Bewegung" przyznaje, że „gdyby rząd na dotychczasowéj drodze, na obecną chwilę stósownéj, poszedł daléj, doprowadziłoby to do dylematu, jeźli nie do klęski rządu."

Pan Kr. pisze:

„zwolna przysposabia już prasa publiczność do reformy, która prawdopodobnie ma się rozpocząć odebraniem inspekcyi szkólnéj duchowieństwu, jako nie mającemu wykształcenia fachowego."

Coś podobnego zapowiada *Frankf. Ztg.* rozbierając artykuł *Krzyżowéj,* ganiący rozporządzenia kanclerza, przez które w Alzacyi zniósł konfessyjną inspekcyą szkólną, tryumfuje, że demokratyzm ks. Bismarka wnet zajaśnieje więcéj w projektach rządowych o cywilnych małżeństwach i o liberalnym prawie szkólnym. —

Żeby rząd miał zamiar

„odebrać inspekcyą duchowieństwu, jako nie posiadającemu wychowania fachowego;" żeby „ten brak właśnie wykształcenia technicznego służył rządowi za pretekst do usuwania duchowieństwa od szkoły, żeby to był „fakt", który się tylko konstatuje;" albo żeby p. Kr. twierdząc śmiało iż inspekcya nie stoi dziś na odpowiedniéj wysokości, miał za sobą całą prasę rozsądną;"

tego jak dotychczas, pewno nie przez moję winę, nic napotkałem nigdzie.

Ja znajduję zawsze tylko samę nienawiść do kościoła, samę żądzę wszechwładztwa państwowego (Staatsbomnipotenz). I tak *Deutsche Reichs-Correspondenz* organ tak zwanéj *Reichspartei* mówiąc znów o „stłumieniu klerykalnych dążności" pisze, że

„ciągłe uroszczenia Infallibilistów mogą najumiarkowańszym politykom nareszcie w usta włożyć te złowieszcze słowa: Rozdział kościoła z pań-

*) „Wenn der Leitartikel der N. A. Z. vom 4. wirklich die gegenwärtige Ansicht unserer Begierung aussprechen sollte, so wuerde daraus folgen, dass das früher angekündigte active Vorgehen der Staatsgewalt gegen die Anmassungen und Uebergriffe des Ultramontanismus nur ein leeres Wort gewesen ist."

stwem! Bo na gruby kloc potrzeba grubego klina, i jeśli Ultramontanie nie będą chcieli słuchać, będą musieli czuć."

Ale nie będzie to

„rodzaj względnego rozdziału t. j. legislatywnej rozłączności obu sfer nawzajem, wedle której w Ameryce i w Belgii kościołowi przypadła lepsza część (wonach der Kirche der Löwenantheil zufällt.)"

Ma to być rozdział kościoła w myśl komitetu „liberalnych katolików szwajcarskich," którzy mając u siebie już dawno rozdział kościoła od państwa, naradzają się w Solothurm, jak uchronić państwo jeszcze lepiéj „przeciw kuryi rzymskiéj uroszczeniom." Ciekawa teorya rozdziału Kościoła z państwem jaką daje D. R. C.

„Zwolna kościół wzrastającemu w siłę *właściwemu* państwu oddał prawie wszystkie te funkcye, które również dobrze, albo lepiéj sprawuje państwo aniżeli Kościół: i to rozdział Kościoła na rzecz państwa (eine Trennung *von* der Kirche *an* den Staat). Pozostało kościołowi z tych funkcyi: prowadzenie ksiąg cywilnych, prawie wyłączne uprawnienie do sankcyonowania małżeństw, i wpływ na szkołę, począwszy od elementarnéj aż do teologicznych fakultetów w uniwersytetach. Kościołowi nie odejmie się całkiem prawa dawania ślubów i uczenia; może będzie mógł je wykonywać, konkurrując obok ślubów cywilnych i szkoły rządowéj, ale wtedy pod najsurowszą kontrolą samoistnego państwa, które od kościoła dzieli to, co samo lepiéj wykonuje; („sie darf es vielleicht concurrirend neben Civilehe und Staatsschule noch fortüben, dann aber unter strengster Controle des *selbststaendigen* Staates, den das von der Kirche trennt, was er selbst besser ausübt.)"

Jest tu jasno wypowiedziana zasada heglowskiego bożyszcza państwa, które za „Boga ludu ma być miane," a wobec którego wszystko jest bez prawa, który wszystko chłonie w siebie i czyni ze społeczeństwa „Die Schädelstätte des absoluten Geistes" — cmentarzysko absolutum. Inne, jak n. p. *Nat. Ztg.* przyznają się wprost do nienawiści Kościoła, pisząc: że jeżeli rząd się cofnąć myśli z areny walki, to

„przywódzcy papieżników (die papistischen Führer) zatrzymają swą władzę, do wiązania coraz ściśléj wolności sumień naszych katolickich spółobywateli, do wychowania sobie z ślepo uległych mas penitentów wojska, które i niekatolickim poddanym i samemu państwu wnet wzrostem swym zagrozić może;" a przeciw temu jedyną radę ma, żeby przez w prowadzenie obowiązkowych ślubów cywilnych, przez odłączenie szkoły od kościoła ubezwładnić ultramontanizm. „(Das man mit Einführung der obligatorischen Civilehe, mit Trennung der Schule von der Kirche und den Ultramontanismus lahm legen müsse.")

Schles. Ztg., umiarkowańsza z innéj strony rzecz bierze. Dla niéj rozdział kościoła od państwu „*jest jedynym rozwiązaniem konfliktu kościelnego*". Artykuł ten „pióra wyższego urzędnika" miał widocznie na celu ululanie do snu przynajmniéj liberalnych katolików: że państwo przez ten rozdział nie staje się bezreligijne, boć „składać się będzie z obywateli w większości wiernych swemu kościołowi, a przynajmniéj religijnych", Ten rozdział nastąpić powinien we wszystkich instytucyach państwowych jak w prawodawstwie co do małżeństwa, a przedewszystkiém w szkole, która i tak już w Prusach prawnie jest instytucyą państwa.*)

Wszędzie tu mowa o pochłonięciu przez państwo historycznego i bozkiego prawa kościoła do szkoły, nigdzie o usunięciu inspekcyi duchownéj jako niefachowéj.

A jednak to ma być *fakt*, który p. Kr. tylko „konstatuje."

*) „Państwo odtąd rodzicom jako naturalnym nauczycielom religii pozostawia pieczę o religijne wychowanie, może żądać „świadectwa, czy naukę religii pobiera dziecko, — ale w organizacyą saméjże nauki religijnéj nie będzie się mięszać." „Nauczyciele w większość nie będą się sprzeciwiać, i z pewnością będą umieli wywierać jeszcze moralny i religijny wpływ." Z resztą „każda gmina kościelna" (betreffende Kirchengemeinschaft) będzie się starała o naukę religii dla swych dzieci." Na to słusznie *Schles. Volksztg.* odpowiada: że bezkonfessyjna szkoła ma niebezpieczną dążność, bo konieczność wrodzoną, żeby się stać bezreligijną, gdy religia wszelka tylko we formie pewnego wyznania występuje; że wpływ moralny i religijny nauczyciela w szkole bezkonfessyjnéj to jest mara *Diesterwegowa*; że wreszcie smutna rzecz mówić o wielu z tych „naturalnych nauczycieli" dla dzieci. —

III.

„Że inspekcya nie stoi dzisiaj na odpowiedniéj wysokości, twierdzi p. Kr. śmiało, mając za sobą całą prasę rozsądną, całe szkólnictwo — a na domiar tysiące dowodów pod ręką." Trudno wiedzieć, która to wedle p. Kr. jest „prasa rozsądna," co ją „ma za sobą": prosim tedy o nazwanie gazet i numerów ich, w których są jego zdania. Przytoczyła i Redakcya i p. Kr. na poparcie swego twierdzenia *Tygodnik katolicki.* Nie wiém, jakim prawem: boć w nim powiedziano, że ten lub ów inspektor zaniedbuje swego obowiązku; lecz nie przyznano, „że dzisiejsza inspekcya nie domaga o tyle, że się nie może utrzymać w szkole." Owszém z upomnienia do odwiedzania szkoły wypada, że nie jest jeszcze „strupieszała." — Toż tylko wypada ze słów, które pisze jakiś „ksiądz niemiecki" (sic), chociaż dziwna rzecz, że nie powiedziano, gdzie to pisze. Czy tylko „podobnych dowodów p. Kr. może secinami dostarczyć"? To nie będą dowody. Chociaż p. K. „znający dokładnie stosunki szkólne w całéj Europie, a szczegółowo w Niemczech", zna „całe szkólnictwo": prosimy i tu wszelako o wymienienie organów szkólnictwa tych, co są za nim. Jakby to źle było, gdyby się kto dał olśnić aparatem uczoności p. Kr. dziejowéj, i nie sprawdzał tego, co nam gadał o przeszłości szkoły: lepiéj i tu sprawdzić wszystko.

„Dziś, dodaje, właśnie brak wykształcenia technicznego służy rządowi za pretekst do usuwania duchowieństwa od szkoły. Ubolewam nad tém równie z autorem, ale konstatuję fakt. Dowodów podałem dosyć w artykule moim."

Pierwszym dowodem ma być to, że w Alzacyi

„odebrano księżom inspekcyą duchowną"; a że jak zaręczyła *Nat. Ztg.* „nie same względy polityczne podyktowały tę zmianę w prawodastwie pruskiem — techniczne miano głównie na oku;" „że p. Mühler, ustanowił inspekcyą świecką, nadto w prowincyach tych zniósł wychowanie konfesyjne. —

Najpierw byłbym ciekawy, jak p. Kr. już w kwietniu, a nawet w marcu br. mógł być na to „odebranie inspekcyi" przygotowany, kiedy wtedy właśnie wszystkie liberały w głos krzyczały przeciw ministrowi Mühlerowi, że wszędzie ściśle obce wyznania rozłącza, miasto je starać się zlać w jedno, że i szkoły konfessyjne wprowadza w inspekcyą konfessyjną. W téj chwili na prędce trudno mi odszukać numeru *Schles Volks Ztg.* ale gdyby była potrzeba, mogę to uczynić jeszcze.

Wszak p. Kr. sam powiada, że we Francyi był rozdział kościoła z państwem; więc i w Alzacyi nie było „inspekcyi duchownéj," jako duchownéj, konfessyjnéj: jakżeż tedy można mówić o odebraniu inspekcyi duchownéj tym, którzy jéj nie mieli? jakżeż można mówić, że do tego byłyby „powodem techicze względy," wzgląd na brak technicznego wykształcenia duchownych? Czy przez jasnowidzenie rząd wiedział o niezdatności kleru?

Schles. Volks Ztg. dopiero w num. z 18 sierpnia w korespondencyi ze Strassburga dat. 15. przynosi potwierdzenie wiadomości o przemienieniu konfessyjnych szkół w Alzacyi na bezkonfessyjne. Wedle niéj Dziennik *Alsacien* podaje:

„Według rozporządzenia państwa powiatowi inspektorowie szkólni mają odtąd wszystkie początkowe szkoły w powiecie bez różnicy wyznania pociągnąć w zakres swego działania. Dotychczasowe odgraniczenie powiatów inspekcyi wedle konfessyi ustaje."

A jako dopełnienie tego rozporządzenia figuruje wiadomość w urzędowych obwieszczeniach, *Feuilles d'Anonces des Canton de Geboiller, Suoltz, Rouffach et Eusissheim*, że

„w myśl rozporządzenia kanclerza panu Slawyk powierzona inspekcya wszystkich szkół elementarnych powiatu Gebwesler bez różnicy wyznania; a p. Voigt w Mühlhausen inspekcya postanowiona dla dawniéj protestanckich szkół, ustępuje."

Ten p. Voigt postanowiony inspektorem był nie od Francuzów, lecz od ministra Mühlera; i nie francuzkie było to „odgraniczenie powiatów inspekcyi wedle konfessyi," lecz Mühlerowe: a tak po prostu dziś Prusy w Alzacyi wróciły do dawnych francuzkich stosunków. A dla czego wróciły? O! z powodów religijno-politycznych, które podaje korespondent z Alzacyi do gazety *Krzyżowéj*:

„Rozwiązanie, mówi on, różnic konfessyjnych istniejących dotychczas tylko w szkołach komunalnych, (co z natury rzeczy wpływa) i na inspekcyą, przyjęto wszędzie, z wyjątkiem małéj pod względem religijnym radykalnéj mniejszości, jako jednę z najszczęśliwszych i najkonieczniéjszych nowacyj w kraju, gdzie konfessyjne różnice z największą ostrością zarysowane.“

Zmiana w tym względzie, wedle korespondenta,

„nosi na sobie charakter zbrojnego wystąpienia przeciw ultramontańskim zabiegom; zwłaszcza, że „ultramontanizm jest przeszkodą w zgiermanizowaniu kraju,“ — Tak wielką zmianę można tylko usprawiedliwić, jeżeli osiągnięcie wielkich skutków jest niezawodne. Ale inspektora nieomylności przychylnego nie usunie się wpływu szkodliwego, chociaż mu kompetencya w rzeczach religii odjęta; przeciwnie, *pole jego zgubnéj działalności rozciągnie się na ewangielickie szkoły powiatu.* A co najgorsza, że z wyjątkiem jednego lub dwóch, wszyscy inspektorzy będą katolicy, jeżeli wedle konfessyi większości mieszkańców stósować się wypadnie. Jeżeli gdziekolwiek, to u nas konfessyjność szkoły wyciąga też, jako następstwa nieodzownego, konfessyjności inspekcyi. Że tak było za czasów francuzkich, jak teraz z niemieckiéj strony na nowo ma być zaprowadzone, *„właśnie to powinno być jednym powodem więcéj przeciw zamierzonéj (!) odmianie.“* „Romanizm“ inną bronią trzeba zwalczać.“

Po tych przytoczeniach zapewne i w przekonaniu p. Kr. upadnie ten pierwszy jego dowód, z Alzackich stosunków.*) Zresztą

„Zwiastunem wielkiego przeobrażenia inspektoratu szkólnego“ ma być daléj to, że *„rząd cesarski wyprzedza nawet życzenia liberałów, tu wynosząc szkoły symultanne, tam wykreślając religią z planu szkólnego.“* W następnym artykule p. Kr. podaje, gdzie te szkoły symultanne, i gdzie bezkonfessyjne, w których „religia z planu szkólnego wykreślona.“ *„W lutym r. b. założono w Norymberdze szkołę bezkonfessyjną.“* Ależ co za łączność Norymbergii bawarskiéj z „rządem berlińskim!“ I to ma figurować za dowód jaki?

„W Poznaniu, w Prusach zachodnich, w Slązku zainaugurowane szkoły i seminarya symultanne:“

i cóż w tym za dowód na to, że niefachowe wykształcenie inspekcyi duchownéj? Jak się jedno z drugim łączy, przez jaką assocyacyą idei.“ P. Kr. zdaje się poważa śp. ks. Gawreckiego: otóż ja, jego dawny wikaryusz, powiem mu właściwą przyczynę dla czego rząd symultanne szkoły zakłada, którą mnie on powiedział, a był w tę sprawę wtajemniczony: jest nią tolerancya religijna i zgoda narodowości. Pytano się i jego, co sądzi o takich szkołach. Na to on odpowiedział: „Mogę odpowiedzieć z doświadczenia własnego: zaprowadzono (a więc het! już dawno) w moich młodych latach szkoły symultanne w Bydgoszczy; ale te raczéj przyczyniły się do rozdrażnienia uczuć religijnych i narodowych aż do fanatyzmu, że ja sam gotów byłem nóż wepchnąć w pierś nauczyciela, szydercy z mojéj wiary.“ Te jego własne słowa. A zatym i ten dowód nie jest dowodem.

No, ale ostatni za to obstaje za wszystkie. „Strupieszała jest inspekcya,“ bo „tutejszy *Amtliches Schulblatt* nr. *10 przypisuje wyraźnie duchowieństwu upadek szkoły naszéj.“* Osłupiałem, gdym to wyczytał. Biorę nr. 10, który dawniéj już czytałem z wielkim zajęciem dla nierozsądnych argumentów, na wykazanie wyższości szkoły niemieckiéj nad francuzką, a w którym niesłychanego oskarżenia, rzuconego duchowieństwu w twarz przez p. Kr., nie napotkałem. Otóż ten fatalny ustęp *Schulblattu:*

„Wenn noch bei den letzten Aushebungen sich in Posen 13,80%, in Preussen 12, 28, in Schlesien 3,42% von den Gestellungspflichtigen ohne Schulbildung erwiesen haben, so liegen die Gründe dort theils *in nationalen und kirchlichen Verhältnissen*, theils in der grossen Entfernung der Ortschaften von den Schulen.“

Któż to mówi? Amtliches Schulblatt? a więc rząd? Nie: to mówił najpierw jakiś *Schorn* w literackim zebraniu, drukował Bock w swym Volksschulfreund; a oddrukował redaktor Schulblattu w *części nieurzędowéj.* Więc to nie *Amtliches Schulblatt,* lecz Nichtamtlicher Theil des amtlichen Schulblatts. I cóż ten p. *Schorn* i wszyscy za nim następnie mówią?

Znaczny procent takich, co nie chodzi do szkoły, przypisuje temu, że u nas znaczna jest odległość miejsc od szkoły. W tym prawda. Jakże trudno dziecku chodzić o pół mili do szkoły latem, gdy potrzebny do pasionki, i bydełko stoi? jak zimą w śnieżyce, zawieje, srogie mrozy, wiosną w roztopy, jesienią w nawałnice? Już dziś coraz więcéj szkół: ale jeżeli np. dziś jeszcze do jednéj z mych szkół, 4 wsie należą z obcéj parafii, — do drugiéj aż z dwóch obcych parafii, to w czasie, gdy popisowi do szkoły chodzili, wszyscy z trzech obcych parafii, i z czwartéj mojéj należeli do jedynéj jednéj szkoły w mojéj parafii, i to tak szczupłéj, że dziś potrzeba jeszcze jéj rozszerzenia.

Daléj p. Schorn przypisuje ten procent „narodowym i kościelnym stósunkom.“ Ten p. Schorn, mając swą prelekcyą w kółku literackim wziął oczywiście cyfry ze schematyzmu rządowego, sporządzonego przez władze militarne. Przecież ani te cyfry same ze siebie, ani nawet te militarne władze nie mogły go pouczyć, że u nas inspekcya duchowna jest „strupieszała.“ Więc nie mógł jéj mieć na myśli, chyba przez jasnowidzenie. Wzrósłszy w przekonaniu o umysłowéj wyższości rasy giermańskiéj,*) nad słowiańską tak wielkiéj, że taki np. niestety, ksiądz *Krencki* w Katowicach przed kilku laty bronił tezy „o konieczności giermanizowania“: czyż nie mógł, tak ja sądzę, procentu nieuków snadno przypisać tępości rasy polskiéj, „narodowym stósunkom?“ I wzrósłszy w przekonaniu, że protestantyzm dopiero przyniósł oświatę, postęp i wywiódł ludzkość z zacofanych ciemnych *„traktów średniowiecznych,“* że katolik z konieczności jest obskurant: czyż nie mógł procentów nieuków snadno przypisać ogłupieniu przez wiarę katolicką, „kościelnym stósunkom?“ Czemu tedy tak niesprawiedliwe zdania p. Schorna drukuje *Schulblatt* choćby w swéj nieurzędowéj części? Czemu? bo nad słabym znęcać się, rzecz łatwa. Ale ja na odwrót pytam: Czemu p. Kr. tę obelgę, o ile w jego mocy było, przez swe urojenie spotęgowawszy, rzucił w twarz duchowieństwu? jakim prawem mógł napisać, że *Amtliches (!) Schulblatt* przypisuje *wyraźnie du-*

---

*) Domysł p. Kr., że niezawodnie *„techniczne względy miano na oku* (sic); „gdyby tutaj chodziło o polityczne zabarykadowanie się, znaleźliby się inspektorowie duchowni, którzyby odpowiedzieli wymaganiom rządu berlińskiego,“ jest lekkomyślny.

*) Tenże p. *Schorn* przyznaje że co do wprawy językowéj i biegłości w wyrażeniu się, jako też w pięknym pisaniu, w obyczajności, porządku grzeczności i przyzwoitości, francuzka młodzież przewyższa niemiecką: ale to wszystko zagorzałemu niemieckiemu pedagogowi wydaje się raczéj wrodzonym darem, nie nabytkiem szkoły, wrodzoną *politesse*, którą dobrowolnie mają za wychowanie (was freilich mehr in der Eigenart des Französichen Volkes, ale in der Leistung der Schule begründet sein dürfte — es ist an den Franzosen angeborene *politesse*, die man zu gutmüthig oft als Bildung bezeichnen hört.) Z szkół francuzkich najwyżéj stoją duchowne. Trzeba tedy było p. Schrenk poniżyć je. Pisze on z posłuchu, że fréres d'école przez niego przezwiskiem fréres *ignorantins* oznaczeni „korzystają za bardzo z przywileju swego imienia ignorantins“ (des Vorrechts ihres Namens ignorantins sich doch in zu ausgedehnten Masse bedienen.) Znamienicie redagewany *Przegląd katolicki* w Warszawie w nr. 32. podaje doskonałą dlań odpowiedź, jaką dał przełożony szkoły w Seint — Etienne redaktorowi Rolland. „Do p. Rolland, głównego redaktora dziennika *Eclaireur*.

„Nazywasz nas pan przy każdéj sposobności *frères ignorantins*, braćmi nieukami.

„Wczoraj jeszcze ten tytuł powtórzyłeś pan poraz setny.

„Być może, iż pan jesteś gienijurzem niepojętym, umocowanym, *in petto* do nazywania osłami innych ludzi.

„Ale ponieważ przypuszczenie takie nie jest jeszcze dowiedzione, pozwalam sobie zaproponować panu następującą próbę.

„Wielu z nas przed niedawnym czasem składało egzamin przed komisyą *ad hoc* dla otrzymania patentu. Poddaj pan swoje wysokie światło podobnéj próbie, a jeżeli odbędziesz ją tak, jak i Twój niżéj podpisany sługa, chętnie znosić będę nadal pogardliwy tytuł, jakim nas obdarzasz.

„Czyż to jest zbyt wielkie wymaganie od człowieka tak pewnego siebie?

„Jeżeli pan sądzisz, że zbyt wielkie, proponuję pojedynek łatwiejszy.

„Racz pan przybyć do naszéj szkoły; stań do spólnego egzaminu z jednym z naszych uczniów, którego wskażemy; zadawaj mu i dozwól sobie zadawać pytania z ortografii, gramatyki, rysunku, arytmetyki, gieometryi itp.; jeżeli nie zostaniesz stanowczo zwyciężony, nasi *bracia nieucy* (fréres ignorantins) chylą przad Twoim sądem pokorne głowy.“

„Czy zgoda? Racz Panie redaktorze.... Brat Reges.“

chowieństwu upadek szkoły?“ Co *wyraźnie* stoi, to musi być tam wyrażone; a tu tego nie wyciśnie nikt wedle zasad zdrowéj logiki. I otóż już ostatni dowód, który, jak wszystkie inne, w mgłę się rozwiał

P. Kr. chciałby, wprawdzieć, wyjść zwycięzcą w łatwy sposób, bo przez niedobrowolne, ale dostateczne przyznanie rzeczy saméj ze strony przeciwnika.

„Przyznajesz więc (mówi), że księża nie są doskonałymi mistrzami na polu pedagogiczném, że potrzebują pracy i kształcenia, — więc zgoda, tego ja właśnie żądam, i o cóż się rozpierać?“

Gdyby p. Kr. logicznie był sobie rozebrał przyznanie przeciwnika, nie byłby mógł uderzyć w hymn zwycięzki i nie byłby téj pochwały oddał przeciwnikowi:

„Gdyby autor był tak wszędzie rzetelnie (sic) mię chciał zrozumieć gdyby nie był tłomaczył tendencyjnie myśli moich, byłoby to niezawodnie korzystniéj dla szkoły i kościoła, bo wtenczas, popierając mię, byłby budował razem ze mną na téj saméj moralno religijnéj podstawie przyszłość, szkoły i narodu.“

Można bowiem przyznać, że się nie jest doskonałym mistrzem w pedagogice, a mimo to być dobrym inspektorem, podobnież jak można być dobrym nauczycielem, nie będąc „mistrzem na polu pedagogicznym.“ Na nauczycieli wychodzi tyle młodzieży z nr. 3., 2., nie tyle z 1.: a przecież i z najlepszym świadectwem seminaryjskim nauczyciel nie jest przeto jeszcze mistrzem na polu pedagogicznym. Wedle teoryi tedy p. Kr., usuwającéj od inspektoratu nie — mistrzów w pedagogice, trzebaby zwinąć wszystkie szkoły, i nauczycieli porozganiać po biurach, warsztatach i gospodarkach. Co większa: rzecz znana, że łacniéj być znośnym krytykiem dzieł takiego Rafaela i Matejki, Dantego i Mickiewicza, aniżeli artystą na modłę Rafaela i Dantego; a co zatym idzie, łacniéj być bez mistrzostwa w pedagogice znośnym inspektorem, aniżeli nauczycielem. Wszak to rzecz jasna? A więc i to rzekome przyznanie „strupieszałości inspekcyi duchownéj“ istniało tylko w słodkim urojeniu p. Kr.

Za dowód taki uważać nikt rozsądny nie może głosu p. W. K. z Dolska, że „duchowieństwo, chociaż przeszło szkoły gimnazyalne i akademickie, może przecież w pedagogice mniéj daleko umieć, niż nauczyciel wiejski, i przyznaję szczerze, że tak jest.“ P. W. K. jest stroną skarżącą, nie ma więc co „przyznawać“, lecz powinien zarzutu dowodzić. Albo czyż osądził, że gołosłowne twierdzenie jakiegoś anonymu może mieć jakie bądź, a cóż dopiero rozstrząsające znaczenie? P. Kr. głośno wypowiada, że rząd „brak technicznego wykształcenia duchowieństwa „za pretekst“ tylko bierze do przeprowadzenia głębszych zamiarów, żeby „szkołę ująć w ramy serwilizmu militarnego“, i że wtym celu „to rządowe tolerowanie propagandy liberalnéj w szkólnéj literaturze peryjodycznéj rozigrało ją na dobre, a szkoła stara się już wyzwolić z pod wszelkiego wływu i z pod wszelkiéj prawie władzy“: czyż mi tym więcéj tedy o jakimś anonymie nie wolno przypuszczać, że się „rozigrał i stara się wyzwolić z pod wszelkiéj prawie władzy“? zwłaszcza gdy kto w piśmie publiczném rozstawnymi głoskami drukuje: „zaprawdę, księże insektorze, pomyliłeś się“?

(C. d. n.)

Kwestya socyalna.

Stara to kwestya, stara jak złe na świecie, boć jego dzieckiem — obecnie przecież tak wezbrała, tak się rozwielmożyła, że jest prawdziwie czarnym punktem Europy, groźbą chwili obecnéj, a ruiną, kataklizmem niedalekiéj przyszłości.

Z początku załatwiano ją praktycznie, późniéj zajął się nią Kościół i łagodnie a skutecznie uśmierzał — piszący zaś w téj sprawie tak mało wagi, realności przyznawali projektom swych elukubracyi, że sami zwali je utopiami, *îles de plaisir*, tak Morus Tom. — Campanella — Bakon, Fénélon. Koniec dopiero wieku minionego, a przedewszystkiém nasz obecny, mianowicie Encyklopedyści, a za nimi cała powódź pisarzy socyalistycznych, wytworzył na tym tle nową gałąź umiejętności ludzkich: nauki społeczne, *phisique sociale*.

Celem ostatecznym różnorodnych systemów socyalistycznych jest podsunięcie budowie społecznéj nowych zasad, owszem, przekształcenie całéj budowy, aby zaradzić rozwielmożonéj nędzy, i jéj klientów przypuścić do mniemanego raju owoców cywilizacyi.

Że liczba nędzy, ubóztwa bardzo urosła i coraz rośnie, fakt jest widoczny. Statystyczne dane z Belgii wykazują 41, 1% rodzin w bardzo trudnych stósunkach majątkowych, 49, 4% rodzin w największéj nędzy żyjących, a zaledwie 9, 5% rodzin w dobrych stósunkach. P. Bright w r. 1863 deputowany, obecnie minister, wyznaje w mowie mianéj na meetingu w Rochdale, że w Anglii, nie licząc Irlandyi, jest jeden milion ludzi utrzymywanych kosztem parafii w t. z. workhouse, a 1 do 2 milionów mężów niewiast, i dzieci na progu tychże.

Ogólnie liczą biednych 80% wszystkiéj ludności, cyfra zaprawdę smutna. Dodać przecież należy, iż pojęcie ubóztwa bardzo jest względne, zależne od wielu okoliczności, zależne przedewszystkiém od rozszerzenia mniemanéj cywilizacyi. Lazzarone zadowolniony jest, gdy ma pogodne powietrze nad głową, owoc i liście cukoryi, Chińczyk garść ryżu — Anglik uważa za swą niezbędną potrzebę prócz mieszkania, pożywienia, także tytuń, piwo, herbatę. Wśród naszego społeczeństwa rozpowszechnia się widocznie coraz więcéj palenie tytuniu; gdy się to rozszerzy i ustali, będzie jedna potrzeba więcéj; a koło ubóztwa się rozszerzy, gdyż produkcya w przemyśle i rolnictwie nie wyrówna téj konsumpcyi.

I.

Jedna z przyczyn, która przyłożyła się głównie do rozszerzenia zastępu ubóztwa to materyalizm, który tłumi w człowieku wrodzone pragnienia moralne, a na zaspokojenie głodu, ztąd rosnącego, wskazuje na pokarm z ziemi obfity, urozmaicony, — lecz nigdy nie wystarczający. „*Nie samym chlebem żyje człowiek*, powiedział bozki nasz prawodawca, ma człowiek potrzeby dwojakiéj natury: cielesne i duchowe — materyalizm, który obecnie zaciemnia nasze niebo chrześcijańskie, który w miejsce zapomnianych herezyi stanął do walki z prawdą bożą na ziemi, usiłuje zaprzeczyć w człowieku pierwiastku duchowego i potrzeb duchowych, a że faktem są głośno o sobie świadczącym, usiłuje je zagłuszyć zmysłowością. Wten sposób rozszerzają się i rozkiełznują potrzeby zmysłowéj przyrody, wyzwalają się namiętności, a człowiek nie zdatny zaspokoić swych pragnień, przychodzi do poczucia — ubóztwa. To nam tłumaczy ruchy socyalne robotników. „*Panem et circenses*“ wołają groźnie spodlone, zmateryzlizowane tłumy — bo odebrano im chleb boży, bo wmówiono w nich, że są, jako zwierzęta, które tylko na ziemi i dla ziemi żyją. Obecnie rządy dostrzegły niebezpieczeństwa, grożącego od strony Stowarzyszenia międzynarodowego robotników. Wybuch niezawodnie nadejdzie — rządy będą starały się siłą żelaza zgnieść go, lecz czy zgniotą, przytłumią zupełnie? Broń fizyczna nie zdolna zabić zła moralnéj natury. Jeżeli rządy siłą prawa kapitał zniewolą do ustępstw pracy np. w ten sposób, że prawnie oznaczą i nakażą wyższą niż dotychczas cenę pracy, i w ogóle pracę przywilejami opatrzą naprzeciw kapitałowi: czyż wtedy złe zniknie? Rozum prosty mówi przeciwnie. Na chwilę ucieknie, lecz hydra złego, wzmocniona ustępstwami, nie zaniecha podnieść znowu głowy, i wyższe stawiać będzie żądania. Pewnik to psychologiczny. Albo może chwycą się rządy próbowanego już we Francyi sposobu, projektowanego przez L. Blanka, to jest, wykupią dotychczasowych właścicieli, przedsiebiorców i urządzą warsztaty, fabryki narodowe albo raczéj rządowe. Próba się nie udała, choć małego Blanka na ręku noszono, a rząd i przedsiębiorcy i robotnicy na projekt się zgodzili.

Rządy sposobu nie znajdą, bo złe jest moralnéj natury a zwrotu ku tego rodzaju środkom nie widzimy, owszem zawód coraz większy.

Mniemana oświata wieku naszego, jako sobie tuszą racyonaliści, zła nie uleczy, gdyż ona całkim w usługach materyalizmu zostaje, już to materyalizując pojęcia, już też siły i zdobycze ducha zwracając na pożytek ciała — sprzęgając siły przyrodzone ku wygodzie człowieka.

II.

Do rzędu przyczyn, które sprowadziły ubóztwo powszechne, zaliczamy zniesienie klasztorów. Może to uśmiech wywoła na ustach człowieka XIX wieku, a przecież fakt to w saméj naturze rzeczy leżący, fakt historyą poświadczony.

Prasa niezbożna tyle jeno o klasztorach uczy, że się w nich chowali próżniacy, jedzący chleb ludu, — ale o tym mało kto wié, że ludzie, którzy wyrzekli się świata i węzłów rodzinnych, t. j. tego właśnie, co w człowieku rodzi i żywi samolubstwo, byli ojcami miłosierdzia dla ludu biednego, że stali pośrodku pomiędzy bogactwem a nędzą, równoważąc strony obie, że bogate swe przedtym posiadłości przekazywali ubóztwu, przywdziewając sami suknie ubogich, że wreszcie wykonywali wiele prac i posług dla ludzkości nie żądając nic więcéj prócz strawy, którą dziś grubo opłacać potrzeba. I otóż zburzono klasztory; tysiączne źródła któremi miłość bliźniego, dobroczynność, ofiarność rozlewały się po ziemi, zatkano a zaraz wytrysnęło tyleż źródeł nędzy i występku. Ze stanowiska ekonomii politycznéj czynią klasztorom socyaliści pospolicie te zarzuty: że nagromadzają bogactwa, wycofując je z obiegu politycznego, a drugi, że są społecznością nie produktywną. Zarzut ostatni całkiem niesłuszny, fałszywy, wiadomo bowiem znającym nieco bliżéj zakony,że większa ich część przeznacza w regule przeważne miejsce pracy duchowéj lub fizycznéj, że nawet ściśle kontemplacyjne zakony mają godziny czysto fizycznéj pracy. Zresztą, czyż praca wtenczas tylko produktywną, gdy się da pieniężnie zrealizować? czyż to jedyny cel pracy ludzkiéj — pieniądz? czyż to jedyną pracą godną człowieka, co się daje oznaczyć liczbą funtów, zarobkiem dziennym? — Co do drugiego zarzutu, prawda, posiadały klasztory bogactwa z darowizn i własnéj pracy zebrane, lecz posiadały je nie wyłącznie, nie samolubnie. — Masy ludu żyły z dóbr klasztornych, kształcili się przydatni społeczeństwu mężowie. Dziś jeszcze w Prusach Zachodnich lud napełnia chętnie wozy kwestarzy — wie bowiem, że się z ich datku i biedni pożywią, wié mianowicie, że stoły refektarza klasztornego otwarte są dla wielu biednych uczniów gimnazyalnych, którzy się tam tylko żywią. Nie rozpraszają, nie marnotrawią klasztory dobra sobie powierzonego na dwory, na wody zagraniczne, na jedwabie, na stoliki zielone, lecz przechowują je skrzętnie dla ludu biednego. Obecnie dobra ich pochłonęło państwo i jego słudzy, ledwie maleńką część obrócono na szkoły, za resztę zakupiono karabiny, armaty, i powiedzmy też i to — przyodziały się pięknie przyjaciółki tych, co służą państwu. Profesor pragski *Schulte* w swéj broszurze, *die Stifte der alten Orden in Oesterreich* 1869 wykazuje, jako istniejące dotąd w Austryi klasztory w swych 12 wyższych i 4 niższych gimnazyach zatrudniają 179 nauczycieli. Licząc płacę roczną po 800 guld. czyni dla wszystkich 143,000 guld. — państwo tymczasem dopłaca tylko 13,002, zyskuje więc przeszło 130,000 guld. rocznie, prócz tego pobiera jeszcze opłatę szkólną w ilości 35,544 guld. nie wydaje nic na budynek, opał itd. Któryż bogacz z swych dóbr przenoszących kilka, kilkanaście razy włości jednego klasztoru, czyni tyle dla dobra ludzkości? Oprócz tego tłumy nędzarzy odepchniętych od bram pałaców, pożywiają się przy furtach klasztornych. W miejsce dotychczasowéj dobroczynności prywatnéj, a przedewszystkiem klasztornéj, wprowadzona dobroczynność publiczna, *bienfaisance publique.* Sposób jéj ten jest, że państwo przyjmuje nędzarzy, niezdatnych do pracy pod swą opiekę, ku czemu z ludzi ściągają podatki. Miałbym ochotę opowiedzieć coś o téj dobrroczynności publicznéj, o *wotkhouse* w Anglii, o emucie sprowadzanéj w Anglii przez rozdzielanie rządowe wsparcia podczas przesilenia i nędzy wybuchłéj w Latocashire, lecz by odwiodło od rzeczy.

Historya także, wspomniałem, dobitnie stwierdza fakt ten, jako skasowanie klasztorów przyczynilo nędzy. Kiedy w Anglii despota Henryk VIII ukazem zniósł klasztory, słyszano i historya zapisała na swych kartach jęk żalu, rozpaczy ludu biednego. Odtąd to już datuje się owa nędza w Anglii, która aż w przysłowie poszła.

Kiedy absolutny Józef II w Austryi zniósł klasztory, ten sam fakt się powtórzył. Ledwie oczy zamknął, ze wszystkich kątów monarchii dochodziły głosy, żądania, prośby, po dzisiejszemu petycye, nie od rozpędzonych zakonników, lecz od gmin, od komun miejskich o przywrócenie klasztorów. *Vox populi.*

Tak, czytam między innemi, miasto w Styryi podało petycyą, podpisaną przez najznakomitszych obywateli na czele c. k. oberstlieutenanta, w któréj podnoszą, jako miasto popadło w ubóztwo a nawet gróźną nędzę od zniesienia klasztoru Franciszkańskiego, przypominają, jako pierwéj miasto i okolica do kwitnących należały.

W miejsce rozwiązanych banków miłosierdzią wprowadzają dziś banki wielkie i małe, które przecież nędzy ubóztwa nakarmić nie zdołają.

III.

Obalając zasady arystokracyi rodowéj, cieszono się nadzieją, że zmiana jednéj z silnych podstaw społeczeństwa sprowadzi polepszenie bytu klas ubogich, — tymczasem złe się nie zmniejszyło bynajmniéj. Wmiejsce dotychczasowéj arystokracyi rodowéj wstąpiła daleko twardsza arystokracya kapitału — i już w 48 roku widzimy gwałtowne ruchy socyalnokomunnistyczne. Przyczyną rozwielmożonéj nędzy jest wypowiedziana zasada równości, wyzwolenie, usamowolnienie przemysłu i w ogóle zarobkowania, rozwój i postęp zbyt nagły przemysłu. Droga, któréj celem jest zysk, nigdy nie była próżna cisnących się współzawodników. Skoro drogę przemysłu, zarobkowania dla wszystkich otworzono, tłumy rzuciły się nią, lecz tylko szczęśliwsi zdolnością, kapitałem zrobili majątki — słabsi upadli w nędzę gorszą niż pierwéj. Przedewszystkiém zaś rozszerzenie przemysłu fabrycznego zadało cios przemysłowcom odosobnionym. Pojedyńczy bowiem przemysłowiec nie podołał wytrzymać współzawodnictwa z fabrykami, i albo nędznie daléj się biedolił, albo szedł w usługi fabryk i kapitalistów. Liczna klasa ludzi nie posiadających nic więcéj prócz dziesięciu palcy, chcąc znaleść zarobek i środki do życia, zmuszona została tym sposobem sprzedawać swą pracę przedsiębiorcom, właścicielom fabryk. Z natury rzeczy wynika, że cena pracy, wysokość zarobku, zależy przeważnie od dających pieniądz, tym więcéj przy obfitości ofiarujących pracę a małym popycie. Ten, co towar swój sprzedawać musi, codziennie sprzedawać musi, jeżeli z głodu rodzina umrzeć nie ma, łatwo bywa wyzyskiwany przez spekulacye kapitalistów.

Dodajmy do tego bezsumienność, jakoby uprawnioną, w sprawach pieniężnych, dodajmy materyalizm, który jako zaraza zatruł stósunki społeczne, a niedziwną bedzie nędza obejmująca starą Europę.

Różne przeróżne środki podają socyaliści — o tych, które są obecnie na porządku dziennym, o stowarzyszeniach i oświacie pomówimy następnie. *X, W. G.*

Nasza czeladź rzemieślnicza.

IV.

Ks. Adolf Kolping.

C. Hospicium — i reszta żywota jego zasłużonego. —

Gdyby czeladź pozostawała w rodzinnych swych miastach ciągle, czego pochwalać wcale nie można, a natomiast gdyby się wedle potrzeby i zwyczaju starego, mającego wiele dobrego za sobą, nie udawała w podróże, na wędrówkę tak zwaną, „Stowarzyszenie“ samo byłoby już wystarczającym środkiem zaradczym przeciw okazyi do złego. Tymczasem w podróży kilkoletniéj po świecie, jeśli rzemieślnik z jednéj strony wielkie odnosi korzyści, bo poznaje ludzi, — uczy się szanować i jednać sobie ich przychylność, — poznaje, co bieda, — wydoskonala się w rzemieśle między kolegami z różnych stron i pod przełożonymi różnego usposobienia, i wyrabia sobie samodzielność charakteru, — to znowu takie właśnie tułanie się między obcymi naraża młodego czeladnika na niebezpieczeństwa różnego rodzaju.

Zwyczajnie czeladnik skromnie zaopatrzony pieniężnie, zniewolony jest szukać w obcém mieście schronienia najtańszego. Dostaje się tedy do oberży, do karczmy najnędzniejszéj i w towarzystwo nie mniéj moralnie nędzne, między pijanice obrzy-

dłe, oszustów i złodziejów przebiegłych, rozpustniki rozwiozłe i inne śmiecie plemienia człowieczego, które tam czychają na ofiarę jaką, aby ją nakłonia do naśladowania siebie. — Wiedział Kolping z doświadczenia, że właśnie te noce i dnie z konieczności spędzane w podobnych domach, odbierały młodym ludziom wstyd, często i popychały ich do uczynków haniebnych.

Aby zapobiedz temu niebezpieczeństwu, trzeba, sądził Kolping założyć obok „Stowarzyszenia i pod dozorem Stowarzyszenia“ *dom gospodny* dla czeladzi przybywającéj do miasta, gdzieby znaleść mogła odpowiednie dla siebie wygody, opiekę, poradę, ułatwienie zarobku, nawet pomoc pieniężną dla zapobieżenia żebraninie, — i myślał sobie nareszcie tak: „co jest koniecznością, to jest téż możliwém, a co możliwém, do tego z ochotą największą się zabieram, bo ufam w pomoc od Tego w niebie, zkąd najpierw i najpotrzebniejsza przychodzi, — a potém oglądam się i za tymi tutaj, co pomodz mogą, aby to, co być powinno, stało się téż rzeczywiście“. Pan Bóg mu dopomógł, ludzie nie skąpili jałmużny, dom stanął i to okazały. Kosztował 18,000 talarów, a sumę tę złożyło miłosierdzie i miłość bliźniego i to w bardzo krótkim czasie, bo już 8 Maja 1853 r. hospicium było z wielką uroczystością poświęcone

Bogu na chwałę, — Miastu na pożytek,
Młodzieży dla nauki, — Rzemiosłu na przytułek,
Djabłu na przekorę, — i dla poczciwéj czeladzi z bliska i daleka; wedle napisu na niém.

Dość ciekawie opisał ks. Schäffer dzisiejszy generalny prezes Stowarzyszenia hospicium kolońskie, a mianowicie pracowite i wesołe życie w niém, w broszurce wydanéj przed dwoma laty. — Hospicium, powiada między innemi, jest to sobie dom okazały dwupiętrowy, budowany w stylu gotyckim. W suterenie jego jest kuchnia, 5 pokoji jadalnych i gościnnych, pralnia i łazienki. Przed suterenem jest wspaniała sala zdobna w filary, galerie i sufit po mistrzowsku drzewem wyłożony. Sala ta jest miejscem, gdzie się w niedziele rozprawy czytają, gdzie religia św. się udziela i gdzie śpiewacy odbywają swe ćwiczenia. Piękne wschody z ciosowego kamienia wiodą na wyższe piętro. Na przodzie domu jest mieszkanie wygodne prezesa, zastępcy jego, ojca gospodnego i wielka sala naukowa (szkoła). Pokoji sypialnych zdrowych, przewietrzanych często i czysto utrzmywanych jest na 75 osób. W każdym pokoju są dwa posłania. Zamieszkuje je czeladź, któréj majstrowie u siebie ani stołować, ani nocować nie mogą. Za jedno posłanie płaci się tygodniowo 1 th. 20 srb., lub 1 th. 10 srb. Codziennie jada stale w hospicium od 75 do 80 osób. Za wybomy obiad płaci czeladnik trzy i pół srb., stósunkowo i za śniadanie i kolacyą. Prócz tego daje pożywienie i schronienie hospicium codziennie kilkunastu z biednéj podróżującéj czeladzi za darmo, albo za małą opłatę. W r. 1868 np. było nakarmionych w zakładzie 1,100, — wszak to piękna liczba, dobre świadectwo i tyleż mniéj żebraków (Armen Reisender) rocznie w Kolonii.

Przekonajmy się teraz, jakiém się tam w instytucie życiem żyje w dzień powszedni i świętny. Dajmy na to, że dzisiaj właśnie jest dzień roboczy.

Przed szóstą rano rozchodzą się po modlitwie porannéj młodzi lokatorowie gospody, ubrani w bluzy warsztatowe do swoich majstrów do pracy. W hospicium nastaje cisza do południa. Czas to bardzo pożądany dla prezesa do studyów i korespondencyi z pół światem. Po 12 zaczyna się gwar, czeladź wraca do gospody z dobrym, jak zawsze u młodych, apetytem. Krótka modlitwa, nie długi, ale smaczny obiad, jeszcze krótszy odpoczynek, a znowu zdążają wszyscy do warsztatów i bawią tam aż do godziny szaréj. Wtenczas powracają na wieczerzę do hospicium. I roi się w gospodzie, jak w ulu, — jedni przychodzą do stołu, inni na naukę, gazetę, zabawę i z 600 do 700 członków, każdy uważałby sobie dzień za stracony, gdyby niemiał kilku kwadransy spędzić w hospicium. To też na obszernym dziedzińcu wypatruje, jak w mrowisku, — cały gmach pełen ruchu i życia młodego. Tu wywija zgrabny czeladnik koziołki i przeskakuje w lot drewnianego konika, — tam pod kasztanami zebrała się gromada i cieszą się wesoło: — jeden opowiada swoje przygody z wędrówki z takiem przyjęciem się swojim przedmiotem, że mu aż fajka zgasła, drugi opisuje góry i doliny, miasta i wsie, którędy przechodził, — na innem miejscu znalazło się dwóch ziomków ze stron dalekich, ściskają się serdecznie i gwarzą o swojéj rodzinie, — tam znowu dobrało się grono i zanuciło piosnkę wesołą, wielu im wtóruje, a reszta głośne daje oklaski — i tak każdy wedle swéj woli i wygody używa przyjemnego powietrza wieczornego.

Starsi tymczasem i poważniejsi siedzą sobie w izbach gościnnych, gdzie książki i gazety czytają, albo piszą listy do drogich matek swoich. — W tém zégar uderzył w pół do 9éj, —część pewna z bawiących się i czytających idzie do sali naukowéj. Posłusznie, jak dziecko, każdy zajmuje w ławie swe miejsce, — pod okiem nauczyciela fachowego ćwiczą się w czytaniu, pisaniu, w czterech działaniach rachunkowych, a nawet i ułamkach. Wchodzi też prezes, wypytuje się o postępy, zachęca: „Przyjaciele, nauczcie się, czego tylko uczyć się możecie: w naszych czasach nikt za wiele umieć nie może,“ albo wyjmuje z kieszeni list od czeladnika źle napisany, i daje go innym i każe błędy poprawiać. A jeśli to się dzieje w poniedziałek, wtedy jest czytana interesowna rozprawa z religii lub historyi kościelnéj, a w inny dzień ma nauczyciel matematyki ze swéj nauki mianowicie do młodych budowniczych; — francuska godzina wielu mu przyjaciół, a wreszcie w czasie przeznaczonym na śpiew, chór amatorów ćwiczy się we mszy na następne święto.

Kiedy tak w hospicium z wieczora i wieczorem na dziedzincu i w pokojach młodzież z korzyścią i ochoczo uczy się i bawi, w suterenie odbywają starsi członkowie stowarzyszenia narady z największą powagą. Chodzi np. o kassę dla chorych, a chorych trzeba nie tylko wesprzeć pieniężnie, ale i odwiedzić i pocieszyć. — Senior i assystentowi odbywają w sąsiednim lokalu narady nad wewnętrzném dobrem stowarzyszenia. Kassa odbiera bez ustanku składki, biedne 2 srebniki miesięcznie na rzecz Towarzystwa i 6 fenig. na utrzymanie ółtarza św. Józefa. — Do prezesa drzwi wciąż otwarte, wchodzi po radę, jeden, — za nim drugi, piąty i dziesiąty; — inny składa sprawozdanie ze swych czynności; — trzeci przynosi swoją złotówkę lub talara do *kassy oszczędności*; — czwarty przychodzi po kilka talarów, które miał w depozycie u prezesa, bo mu już surdut jego trzyma się ostatkami tylko; — piąty po to; — szósty po co innego.

W niedzielę jeszcze bardziéj urozmaicono przechodzi czas w hospicium. Z rana od 9 wychodzą wszyscy członkowie w rzędach do kościoła Minorytów, tam na głosy śpiewają podczas mszy św. Po kościele przed południem ma nauczyciel rysunków lekcyą swoją, po obiedzie jest wykład rachunków kupieckich i reguł prowadzenia ksiąg handlowych i bankowych,“ wieczorem miewają prelekcye nadzwyczajni goście, już to duchowny który, już to prawnik, albo profesor, lekarz, budowniczy, prezes, majster starszy t t. p.

Podaje nadto ks. Schäffer szczegóły najdrobniejsze o wszystkich zatrudnieniach czeladzi w hospicium i o przyjmowaniu kandydatów, i o obchodach uroczystych kościelnych i świeckich, aby namacalnie pokazać, jak wielkiéj doniosłości dla socyalnych stósunków w Niemczech i jak zbawiennego znaczenia wpływowego są ideje Kolpinga w czyn zamienione. Podobne domy gospodne tylko w skromniejszych rozmiarach wedle stósunków u siebie urządziły za przykładem Kolońskim, Towarzystwa w wielu miastach, a gdzie zbywało na funduszach, tam umówiono się z gospodarzem jakiéj oberży, w któréj czeladzi należącéj do stowarzyszenia i ceny względniejsze ułożono i opieką lepszą zabezpieczono.

Kolping był niezmordowany w pracy, — przed poświęceniem jego i rzadką bezinteresownością mieli szacunek nawet heretycy. Co dobroczynność katolików znających interes kościoła dawała, tego używał na zakładanie Stowarzyszeń, zakupywanie, lub wynajmowanie mieszkań dla nich i na urządzenia różne potrzebne. Sam z swojéj kassy ofiarował Stowarzyszeniu Berlińskiemu 500 talarów zapomóżki na początek i koszta podróży w interesie Stowarzyszenia pokrywał zawsze z własnych dochodów. Aby utrwalić przyszłość Stowarzyszenia oddał mu znaczną sumę 10,000 tal., które zebrał za liczne prace swoje literackie. Dał je kościołowi Minorytów w Kolonii z tém zastrzeżeniem, aby procent od tego kapitału pobierał każdora-

zowy rządzca tegoż kościoła, rządzcą zaś miał być zawsze generalny prezes Stowarzyszenia.

Oprócz broszur odnoszących się do Stowarzyszenia, wydawał pismo kościelne „Rhein. Kirchenblatt", potém r. 1854 założył „Rhein. Volksblaetter" i drukował rok rocznie kalendarz katolicki, który mu się rozchodził w 12,000 egzemplarzach, a pismo jego miało zawsze kilka tysięcy abonentów. Nieraz kiedy upadał ze znużenia, powiada sam, ta myśl, że praca jego przysporzy dochodu Stowarzyszeniu i dopomoże do wychowania dobrych katolików, kazała mu chwytać za pióro i dodawała siły. I był téż wynagrodzony za swoje pilne krzątanie się od najwyższego władzcy tutaj na ziemi, od Ojca św. Kiedy bowiem w r. 1862 odprawił pielgrzymkę do Rzymu, dał mu Ojciec św., Pius IX tytuł szambelana i na pamiątkę podarował kosztowny ornat, którego sam wprzód używał podczas mszy św. Kolping, pokorny nadzwyczaj, ucieszył się mocno tém odznaczeniem Głowy całego chrześciaństwa. Wróciwszy do Niemiec, rozpoczął ogólną organizacyą wszystkich Stowarzyszeń. Ponieważ nie było podobném zawiadować szczegółowo wszystkiemi Stowarzyszeniami licznemi, dla tego r. 1864 na zgromadzeniu katolików we Würzburgu ustanowił, że Stowarzyszenia w pojedyńczych dyecezyach mają tworzyć całość osobną i tylko przez posyłanie sprawozdań znosić z general. prezesem w Kolonii.

Był wtenczas w sile wieku i rozmyślał nad tém, aby wziąść w opiekę jeszcze uczniów rzemieślniczych i układał plany o uorganizowaniu Stowarzyszenia dla majstrów wychowanych w Stowarzyszeniu. Panu Bogu inaczéj się podobało. Cierpiał od pewnego czasu dolegliwości reumatyzmu nie grożące zbyt wielkiém niebezpieczeństwem, kiedy nagle choroba sercowa i astma zagroziła mu silniejszą niemocą. Napady gwałtowne uczyniły go bezwładnym, noce długie przechodziły leniwo, a on siedząc w krześle oczu zmrużyć niemógł od boleści. Przyjaciele go pocieszali, że Bóg wróci mu zdrowie, że czeladź codzień odprawia za niego od 9—10 wieczorem modlitwy w kościele Minorytów, ale on dziękując im za wierność i wytrwałość, którą mu dodawali ochoty w przykrych i trudnych chwilach swego zawodu, odpowiadał spokojnie: „Bóg wysłucha ich modły, ale nie tak jak oni sądzą — On wie najlepiéj, co dla mnie i dla innych najlepszém jest".

Stało się, jak Bóg rozporządził, bo już 4 Grudnia 1865 r. przestało to serce szlachetne, które tak szczerze Boga i ludzi kochało, żyć na téj ziemi. Umarł ks. Kolping w Panu i ciało jego pochowane jest w kościele Minorytów przy ółtarzu Ś. Józefa, patrona Stowarzyszenia czeladzi katolickiéj. — Miłosierdzie i nagroda Boża niechaj będzie w niebie dla niego.

Ks. H. W. B.

Alzacya.

Oderwanie Alzacyi od Niemiec, a przyłączenie jéj do Francyi przed 200 blizko laty ochroniło Alzatów z jednéj strony od eksperymentów Józefinizmu i Illuminatów, które w Niemczech tak wielce zaszkodziły kościołowi, a z drugiéj dla nieznajomości języka francuzkiego nie wystawiło na zepsucie czasów Voltaira.

Takim sposobem pozostali Alzaci religijnym i cnotliwym ludem. Rewolucya, która się w Strassburgu pokazała w całéj nagości i obydzie, wywołała ten skutek, że lud na prowincyi jeszcze bardziéj utwierdziła w przywiązaniu do religii katolickiéj. To téż rzadko znaleść ludność, któraby tak gorąco przywiązaną była do kościoła i tak sumiennie wypełniała obowiązki religijne, jak w Alzacyi. Ztąd téż wpływ duchowieństwa większym tu jest, aniżeli gdziekolwiek indziéj. Dowodem tego przede wszystkiém, uczęszczanie do kościoła. W niedziele jest kościół przepełniony wiernymi, a wszyscy budują swoim przykładem. Prawie wszyscy mają książkę do nabożeństwa, i podczas gdy na chórze śpiewają pieśni, towarzyszą pobożnie tajemnicom św. ofiary, albo uważnie słuchają słowa bożego. W każdą niedzielę, a jeszcze więcéj w święta uroczyste, przystępuje bardzo wielu do stołu pańskiego, przyczém zachowanie się ich dowodzi bardzo żywéj wiary. Na wielkanoc przystępują do N. sakramentu, nietylko niewiasty, ale i mężczyzni i z pomiędzy trzydziestu parafii zaledwie jest jedna, w któréj ten lub ów na wielkanoc nie przystępuje do sakramentu ołtarza.

Prawie w każdéj parafii pracuje nauczyciel w największéj zgodzie z kapłanem. Bardzo wiele spraw łączy ich i dla tego dobrze wiedzą, że tylko wspólném wspieraniem siebie, dobre rezultaty w parafii osięgnąć mogą. Stan nauczycielski jest bardzo religijnym; dowodzi tego ta okoliczność, że wielu synów nauczycielskich poświęca się stanowi duchownemu, do którego zwyczajnie gorliwi kapłani miejscowi przygotowują zdolniejszych chłopców. Więcéj niż stu synów nauczycielskich są kapłanami.

To wzajemne wspieranie się kapłana i nauczyciela wywiera najlepszy wpływ na szkołę. Proboszcz wspiera swą powagą nauczyciela; pochwałą albo naganą podtrzymuje karność szkólną, a do szoły chodzą dzieci regularniéj, niż pod przymusem biórokratycznem. Nawet mniéj sumienni rodzice posyłają regularnie swe dzieci do szkoły, bo pasterz dusz, gdy odwiedza chorych, albe familie, nakłania rodziców do tego; wie téż każda gmina, która ma dobrą szkołę, że to zawdzięcza tylko miejscowemu pasterzowi.

Surowych upomnień prawie nie potrzeba. Po wsiach alzackich, a nawet i po miastach utrzymały się starodawne religijne zwyczaje. We wielu rodzinach jest wieczorem wspólna modlitwa, a zimowemi wieczorami czytają Żywoty świętych. Na Anioł pański albo podniesienie zdejmują mężczyźni okrycia z głowy gdziekolwiek się znajdują, czy na ulicy, czy na polach i pobożnie odmawiają paciorek.

Pobożne to życie domowe odbija się i na zewnątrz. Trzydzieści lat już rządzi dyecezyą stassburgską ks. biskup Dr. Andrzéj Raess. W tym czasie poświęcił 70 nowych kościołów, a oprócz tego 30—40 nowych budują; z pewnością wielka to liczba na 800 parafii. Pewnie w żadnym innym wieku stósunkowo tyle kościołów w Alzacyi nie pobudowano. Niektóre gminy pokryły koszta budowy dochodami z lasów: do wybudowania innych, przyczynił się chociaż zwyczajnie małym tylko zasiłkiem rząd; największą część pobudowano z dobrowolnych datków.

Jak majątki na cele kościelne, tak osoby na służbę Bogu, zarówno mezkie jak żeńskie, chętnie oddają Alzaci. W Alzacyi znajdują się zakony z 20 rozmaitych kongregacyi. Reprezentują one każdy oajaw miłosierdzia chrześcijańskiego. Seminarzystów wszelkiego rodzaju jest 1000. W Seminaryum duchowném ze zupełnym teologicznym kursem jest więcéj niż 250 alumnów; co rocznie święci się 50—60 kapłanów, częścią dla dyecezyi, częścią dla innych okolic. Niema bowiem kraju na świecie, w którymby nie było alzackich misyonarzy; najwięcéj ich w Hinach i Siam, w Północnéj Ameryce i u Irokiezów, w Indyach, Senegambii, w Sangwebar i Gabau, w Kochinchinie, Oceanii itd.

Kongregacyą misyonarzy pod wezwaniem św Ducha założył świątobliwy kapłan alzacki i setki Alzatów z niesłychaném powodzeniem nawracają Murzynów Afryki do chrześcijaństwa. Zakonnice nie ustępują kapłanom, którzy są ich nauczycielami i dusz pasterzami, w gorliwości i poświęceniu. W szkołach elementarnych, któremi teraz pomiatać zaczynają, nauczyły się przecież dziewice tyle jeografii, iż wiedzą, że jest nietylko Alzacya i Francya, ale i pięć części świata: Europa, Afryka, Ameryka, Azya i Oceania, i tyle biegłości w czytaniu, iż z „Roczników rozszerzenia wiary" zaznajomiły się ze stósunkami tych rozmaitych krajów, a obok tego i cele religii i czynnéj miłości bliźniego, że ani na odległości, ani na wielkie niebezpieczeństwa nie zważając, dążą tam dotąd, niosąc biednym swym bliźnim oświatę chrześciańską. Setki Alzatek działają tam z niewymownem powodzeniem. Inne poświęcają się służbie Boga i bliźnich w kraju. Kongregacya „Siostr szkólnych" liczy około 1200 zakonnic, które mają dom główny w Ribeauvilliers. Obok nich działają, chociaż w mniejszéj liczbie, ale w równym duchu siostry z Portieux, od św. Jana z Bassel, siostry chrześciańskiéj nauki, siostry od serca św. i t. d.

Sióstr miłosierdzia, mających główny dom w Strasburgu jest tysiąc; odznaczyły się one bardzo w ostatniéj wojnie i rząd pruski bardzo chwalebnie się o nich wyrażał;

córki „Najświętszego Zbawiciela“ ufundowane roku 1749 mają główny dom w Niderbronnie i jest ich 800; poświęcają się pielęgnowaniu chorych w mieszkaniach; do obydwóch zakonów wstępują najwięcéj Alzatki. Zakon Maryanów zajmuje się szczególnie chłopcami. Setki nauczycieli pracują nad chrześciańskiem wychowaniem męzkiéj młodzieży i zakłady ich byłyby jeszcze liczniejszemi, gdyby im nie sprzeciwiała się biórokracya i wolni mularze.

Na wszystkie te chrześciańskie i dobro ludzkości na oku mające cele poświęca lud Alzacki to, co ludzie najniechętniéj poświęcają, t. j. dzieci i pieniądze swoje. Kto się tylko zwróci do ludu z prośbą o datek na cele chrześciańskie, otrzymuje go obficie. Dla Ojca św. byli Alzaci i to właśnie średnio zamożni, nadzwyczaj wspaniałymi; wielkie bowiem majątki znajdują się w rękach bardzo bogatych fabrykantów departamentu wyższego Renu, którzy są przeważnie protestantami. Do wojska papiezkiego zaciągnęła się także stósunkowo znaczna liczba Alzatów, bo 300 młodzieńców z dobrych familii.

Dla licznéj, uczącéj się młodzieży, a mianowicie dla alumnów do stanu duchownego, nie wystarczały budynki. Ksiądz biskup postanowił w skutek tego wybudować wielki nowy gmach i dokonał tego, bo już dzisiaj stoi gotowy w Strasburgu, za milion przeszło franków, a drugi gmach, na który hojnie wpływają jałmużny, buduje się w bliskości Mühlhausen. Na rozszerzenie wiary daje Alzacya rocznie blisko 120,000 fr.; składki na ten cel zbierają się w bardzo drobnych datkach; tak więc składa się na nie w łaściwy lud wścisłem znaczeniu. Nadto zbierają znaczne składki na towarzystwo „Niemowlęctwa Jezusowego“, na towarzystwo św. Franciszka Salezego i inne; na samo towarzystwo „Niemowlęctwa Jezusowego“ zbierają rocznie 30,000 fr. Składki na nie wynoszą tylko jeden sous t. j. 5 fenygów.

Do wszystkiego dobrego jest pobudką duchowieństwo alzackie. Niepotrzeba ani przymusu, ani namowy, wystarczy prośba proboszcza i odwołanie się do chrześciańskiego miłosierdzia. Obok tych składek prywatnych, wydają także gminy jako takie bardzo wiele. Według sprawozdania rady jeneralnéj departamentu wyższego Renu na rok 1866 wydały gminy na kościoły 334,253, na plebanie 28,550, na szkoły 129,397, na cmentarze 9,712, na rozmaite roboty 124,128, a więc razem 626,040 fr. Z tegoż sprawozdania okazuje się, że na cały departament jest tylko 11 domów szkólnych w niedobrym stanie.

Charakterystyka Thiersa.

Correspondence de Genève podaje ciekawą charakterystykę dzisiejszego prezydenta Rzeczypospolitéj francuzkiéj, oświadczając,' że uwagi te o p. Thiersie od znakomitego męża stanu z Wersalu pochodzą. Oto co pisze:

„Położenie nasze pogarsza się z dniem każdym; obracamy się w „błędnym kole,“ które w tych słowach da się ująć: Rząd ma jednego męża za wiele, Zgromadzenie narodowe jednego męża za mało. Thiers w Zgromadzeniu narodowym byłby perłą, jaką naczelnik jest on nieszczęściem.

„Thiers posiada bystry i przenikliwy umysł, jest stworzony do analizowania i krytykowania — doskonale umie on poznawać błędy każdéj innéj władzy, jeno nie swojéj własnéj. Obdarzony bogatą wiedzą i doświadczeniem, które głównie od r. 1848 zebrał, byłby odpowiednią osobistością powstrzymać rząd od groźnéj przepaści, gdyby ten rząd go słuchał. Lecz Thiers nie myśli, nie zastanawia się głęboko, i powiedzmy to otwarcie, nie modli się. Siłą jego jest sądzenie innych, — samego siebie sądzić nie umie. Należy on do rodzaju tych rządzących, którzy nie chcą siebie oskarżać, a którzy następnie jeno tym pokutować każą, co się do swych błędów przyznają.

„Thiers nie może dojść do doskonałości, nie może nawet dążyć do niéj. Dla czego? Bo on się za doskonałego już uważa. Jest on przekonanym, że w każdym względzie same tylko doskonałe rzeczy działa, jako dyplomata, jako mąż stanu, jako mówca, jako prawnik, a nawet jako pedagog, gdyż ze Zgromadzeniem narodowem obchodzi się się tak jak pierwszy lepszy bakalarz z dziećmi w szkole. Albo pójdziecie za mną, woła Thiers, albo ja ustąpię; strzeżcie się, ja was z pomocą tych, na których się opieram, wypędzę ze szkoły. Tak mówi, albo zdaje się tak mówić ten mały, drażliwy, fantastyczny, zarozumiały i chciwy władzy człowiek, który nie cierpi, by mu choć na chwilę jednę oponowano.

„Jest więc jednym człowiekiem za wiele, który wszędzie przeszkadza, bo sam chce wszystko robić i mocno jest o tym przeświadczony, że on tylko jeden zdolen jest cośkolwiek zdziałać. Z drugiéj strony Zgromadzeniu narodowemu niedostaje jednego męża, takiego, któryby wszystkie siły żywotne większością w sobie zgromadził, większość tę podniósł i szacunek jéj zjednał. Ponieważ niedostaje jéj głowy, większość ociąga się i wacha, odmienia swe usposobienia i naprzeciw despotycznéj woli Thiersa połowiczną tylko swą wolą stawia. Ta wola Thiersa nie jest ani wielką, ani szlachetną, ani podniosłą, nawet ani rzetelną, lecz praktyczną, wystarczającą na chwilę i podaje sposoby do wydobycia się z trudności; biedne Zgromadzenie narodowe ostatecznie woli téj poddaje się, nie mając nic lepszego pod ręką.

„Thiers nie jest zdolen rządzić Zgromadzeniem narodowym, a ono znowu nie ma odwagi usunąć go z widowni. Sam Thiers niedawno wyznał, że zaufania Zgromadzenia nie posiada; panuje więc na mocy głosów, które groźbami na Zgromadzeniu wymógł. Taki rząd nie może się zwać konstytucyjnym, i nie może téż uchodzić za czysto osobisty; jest konserwatywnym o tyle, że Komunie wojnę wypowiedział; jest rewolucyjnym, bo podziela zasady, principia Komuny. Walczył on przeciw Komunie, dopóki ta była potężną; teraz, gdy zgnębioną została, schlebia jéj zwolennikom, przyjmuje jéj delegatów i jéj idejom czołobitność oddaje. Można być pewnym, że gdyby Assy, Bergeret, Cluseret lub Pascal Grousset między 18 marca a 20 maja zechcieli byli na seryjo traktować z Thiersem, wielki ten dumny, człowiek bez trudności byłby się zniżył do tego.

„Thiers żyje w marzeniach, oddaje się illuzyjom, uważa się za czarodzieja. Zdaje mu się, że słowa jego porywają, że nic nie potrafi się jego głosowi syreniemu oprzeć, że wymowa jego i jego dowcipne spostrzeżenia niesłychany czar rozlewają. Jego *idée fixe* jest to, że oczarował Bismarcka, a przecież sposób, w jaki traktat Wersalski zawarto, powinienby go oświecić, że ten czar, jeśli jaki był, był bardzo krótkotrwałym.

„W tych samych illuzyjach znajdował się co do Zgromadzenia narodowego; sądził, że jest ono w nim strasznie zakochane; teraz czuje, że ta miłość stygnie. Lecz cóż mu na tym zależy? Przecież on władzcą zostanie dopóki nie z strącą go z wysokości, co niebawem nastąpi.

„Thiers jest podeszły w latach, lecz sztuka jego rządzenia jeszcze jest starszą; polega ona na tym, by płynąć między dwoma prądami, utrzymywać się między dwoma dźwigniami w równowadze, na dwóch stołkach siedzieć równocześnie. Na nieszczęście stołki te nie są martwe, chcą się rozejść, każdy w inną stronę. Cóż się natenczas stanie z małym człowiekiem, z politycznym akrobatą, który z jednego stołka na drugi przeskakuje?

„Jakiż ostateczny cel Thiersa? Nie chce on rządzić Francyą, lecz nad nią panować. Gdyby Thiers chciał pierwszego, potrzebaby było koniecznie oczyścić Francyą z rewolucyjnego jadu, którą ją od przeszło ośmdziesięciu lat zatruwa i mitręży. Thiers sam zarażony tą trucizną, może ją tylko głębiéj jeszcze w żyłach kraju zaszczepić. Jakaż ostatecznie różnica między nim a bohatyrami Komuny? Thiers dzierży władzę w swym ręku i wypuścić jéj niechce; tamci nie mają jéj i chcą ją sobie zdobyć. Dla niego tylko to świętém, co się z jego interesem zgadza. Mniéj logiczny i konsekwentny od swych współzawodników, ostatecznie mniéj silnym téż będzie — do nich ostateczne zwycięztwo i przyszłość należy. Już niezadługo wypadnie władza z rąk jego i dostanie sąd do rąk tamtych. Zwolennicy Komuny nie wierzą w Boga i konsekwentnie wszelki kult znoszą. A Thiers, czyż wierzy w Boga? Nikt nie może w tym punkcie dać stanowczéj odpowiedzi; w każdym razie Thiers tylko skorupy chce religii, tyle właśnie, ile

do utrzymania materyalnego porządku potrzeba. Łatwo wyrzeka on się zasad religijnych; kocha on religią jako środek policyjny, co najwięcéj jako zaspokojenie luxusu, który tym pozostawić można, co mają to dziwne przywidzenie, że bez Boga żyć niechcą.

„Religia, jak ją Thiers pojmuje, nie ma mieć żadnéj styczności z publiczną, ani z polityczną moralnością; Boga dla pojedyńczéj osoby, dla indywiduum dopuści on łaskawie, lecz nie ścierpi Boga dla swego kraju, dla narodu francuzkiego i dla swéj własnéj polityki. Thiers w tym punkcie sam się ma za Boga.

„Thiers nie chciał Prusakom pozwolić rozbroić gwardyą narodową; również nie zezwolił na rozbrojenie tego wojska, którego się większość Zgromadzenia narodowego domagała. To nie zjednało mu serc, ni w Zgromadzeniu, ni w gwardyi narodowéj. Tamto nie ufa Thiersowi, że bierze w obronę niebezpieczną instytucyą; ta wierną zostając swéj rewolucyjnéj podstawie, nie będzie mu wdzięczną za jego samolubne sympatie. Faidherbe, jeden z przejściowych przyszłych dyktatorów, usuwa się od niego i czyha na pierwszą lepszą sposobność.

„Zarzucą może: Thiers nie czuł się jeszcze dość silnym, by niebezpieczeństwu rozbrojenia gwardyi narodowéj, która mianowicie w Lyonie groźną przybrała postawę, czoło stawić. Ale dla czegoż w takim razie nie wyraził przewódzcom większości swych obaw? Potrzeba jeno było dać im rzetelne zapewnienie, że tę instytucyą jak najprędzéj rozwiąże, a łatwo byłby odroczenie téj kwestyi osięgnął. Wolał ją oddać pod rozprawy, wolał miotać groźby, wolał bronić gwardyi narodowéj, a tak dać sposobność do jéj potępienia. To niezręczne postępowanie roznieciło wszelkie złe namiętności, rozbudziło na nowo zbrodnicze nadzieje i niezadowolniło równie przyjaciół porządku jak zwolenników nieporządku.

„Zachowanie się Thiersa w kwestyi rzymskiéj nie było zręczniejsze. Przypuśćmy, że trudno było na dniu 22 lipca stanowcze powziąść postanowienie, tedy należało przynajmniéj sprawę tę ominąć; wystarczało dać prawicy poważne rękojmie co do przyszłości, i wypowiedzieć je jasno, zwięźle i otwarcie. Thiers atoli wolał do podstępu się uciec, gonić za wybiegami i wywołać głosownie, które nic nie naprawia, nic nie rozstrzyga, jeno niedowierzanie prawicy zwiększyło, a Thiersa rzuciło nieodwołalnie w objęcia lewicy.

„Albo na zasadach, albo na stronnictwie oprzeć się trzeba. Thiers ani zasad nie ma, ani nie cieszy się zaufaniem stronnictwa jakiegobądź, nie pozostaje mu nic innego, jak oprzeć się na samym sobie. Pełen dumy z powodu swych zasług, na wszystko inne z serdecznym spogląda politowaniem i sądzi, że językiem swym zdoła wszelką opozycyą zmagnetyzować. Lecz niestety! język ten tak obrotny, naprzemian gryzący i słodki, który w wyrażeniach był ścisły i jasny jak myśl sama, — język ten czarujący, niestety! zestarzał się. Słowa wyrzeczone na dniu 22 lipca pokazały światu, że wielki mówca już się zużył; mowa jego obronna na rzecz gwardyi narodowéj udowodniła, że stracił spokój i że dawniejsza jego niesłychanie zimna krew ustąpiła miejsca drażliwości starca. Tylko on widzieć nie chce, że róże jego zwiędły, czar zniknął, że tylko już prostym jest gadułą.

„Ci, co z Thiersem obcują, znają doskonale jednę z największych jego słabości: wmawia on w siebie, że w swéj dyplomatycznéj objażdzce po Europie cudów dokonał, gdy przecież ogłoszone sprawozdania rzecz przeciwną stwierdzają, to jest, że wszystkie dwory grzecznie go odprawiły. Przyczyną jego niepowodzeń nie było straszliwe położenie, w którym zdeptana Francya się znajdowała; całkim inny był tego powód: nikt nie wątpił, że wędrujący dyplomata żywił życzenie i łudził się, iż przeprowadzając swe ideje, we Francyi a nawet w całéj Europie zaprowadzi znowu porządek. A przecież ideje jego koniecznie do nieporządku muszą doprowadzić. Znano go jako człowieka, który z całym światem kokietuje, siły każdego z kolei dla siebie wyzyskuje, niepoczuwając się zgoła do żadnéj wzajemności. Zakochany sam w sobie Thiers zdawał się mówić do każdego rządu: Pomóż mi, pozwalając ci, byś mi dopomógł, wyświadczam ci honor, a tak nigdzie nie znalazł ni zaufania ni sympatyi. Ponieważ Zgromadzeniu narodowemu z którym tę samą odgrywa komedyą, zbywa na mężu, aby zastąpić Thiersa, przeto zmuszone jest słuchać zachcianek tego małego Cezara. Inaczéj Europa: Europa po prostu odwraca się z wszelką grzecznością tyłem do niego. W Europie całéj stoi on jeszcze bardziéj osamotniony, niż wpośród Wersalskich deputowanych. Powtarzam więc to, od czego zacząłem: Thiers w Zgromadzeniu narodowym byłby perłą, jako pierwszy władzca atoli jest on biczem tylko.“

Wiadomości potoczne.

— Najprzew. ks. Biskup Janiszewski wyjeżdża dzisiaj do Piły, gdzie będzie udzielał Sakramentu Bierzmowania.

— Jak się dowiadujemy, Akta ostatniéj Kongregacyi Dziekanów w Gnieźnie już są oddrukowane i w tych dniach razem z Instrukcyą co do zarządu majątku kościelnego mają być rozesłane.

— Dzieło ks. K. Drużbickiego, wydane przez ks. A. Brzezińskiego, *Droga doskonałości* itd. kosztuje 1 tal. *nie* 4 złp.

— Mamy przygotowaną do druku obszerną rozprawę jako odpowiedź na pracę jakiegoś heidelbergskiego Dr. Olendzkiego, który w *Tygodniku Wielkopolskim* (rozdzielającym *komunią duchowną najznakomitszych pisarzy scil.* Albina Kuhna, Ochorowicza, Ordona i starego materyalisty Dr. Libelta) ogłasza szereg artykułów, tłomaczonych po większéj części z dzieł protestanckich pisarzy ze szkoły centuriatorów Magdeburgskich — pełnych kłamstw, potwarzy, fałszów historycznych i głupoty zarazem. Niedouczone studenty chwytają pierwszą lepszą książkę protestancką — tłomaczą żywcem, przerabiają bez krytyki i sądu — i zaraz dzielą się tą „komunią duchowną.“ *Misérables!* nie wiedzą zgoła, że są na świecie jeszcze katolickie źródła i katoliccy pisarze, którzy już dawno wykazali fałszerstwa umyślne protestanckich zelantów.

— Dla braku miejsca nie możemy dzisiaj podać sprawozdania z jeneral. Zgromadzenia katolickiego w Moguncyi. Uczynimy to w przyszłym numerze.

— *Dziennik poznański* jeneralne Zgromadzenie katolików niemieckich, które wyrzekło i śmiało wyrzec mogło, iż reprezentuje czternaście milionów katolików w Niemczech, nazywa „partyą ultramontanów.“

Jeśli to partya — jakże ogromną musi być całość! Jeśli to ultramontanie, a nie katolicy — gdzież rzeczywiści katolicy? *Dziennikowi* zdaje się, że jak on sam u nas i kilku jego pisarzy, dla których katolicyzmem są masońskie gazety, prawdziwy katolicyzm reprezentują: tak w Niemczech Doellinger z socyuszami swemi prawdziwy katolicki Kościół tworzą.

— *Dziennik pozn.* bardzo rad z buntu „starokatolików“ niemieckich. Przyrzeka uroczyście, że będzie sumiennie dawał sprawę z kongresu, jaki w tych dniach zwołali do Monachium. *Dziennikowi* podobają się zaburzenia religijne — publiczność polską, trzymającą się wiernie nauki Kościoła, mało obchodzą rozprawy i wrzawy „starokatolików“ niemieckich, to jest, heretyków, a raczéj ludzi bez wiary.

— **Zwracaliśmy już uwagę szanownych czytelników na wydawnictwo O. H. Jackowskiego S. J. pod tytułem: Czytania katolickie z różnych pisarzów Towarzystwa Jezusowego, w Pelplinie, nakładem księgarni Jana Romana. Wyszły już następujące książeczki w pięknym wydaniu: Pawła Segneri: Nauka o dobréj spowiedzi; K. Rossignoli: Prawdy wieczne; J. Morawskiego: Namowy Ducha św.; K. Drużbickiego: Przygotowanie do szczęśliwéj śmierci; St. Goślickiego: O częstym używaniu i uczęszczaniu Przenajśw. Sakramentu. Wyjdzie jeszcze kilka książek. Cena całéj seryi (70 arkuszy druku) w drodze przedpłaty wynosi 2 tal. Osobno wyszły jeszcze dwa bardzo polecenia godne dziełka O. H. Jackowskiego: Namowa do św. Wstrzemięźliwości i: Rozważ to dobrze. Powyższe wszystkie książeczki są i u nas na składzie. — Wydawnictwo to gorąco polecamy.**

Nakładzca i Redaktor X. J. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu.
W komisie L. Streisandta w Grodzisku.